ZBIÓR WIERSZY

TOM I

1823.

przepisał E. W. Kałuzko.

Wiérsze
i
Ballady
Szyllera

z niemieckiego na polski
język przełożone.

przez rozmaitych autorów.

Do

Młodzieży Polskiey.

Ucz się oyców twych języka!
On myśl każdą wydadź zdolny,
Gnie się, wdzięczy, grzmi, przenika,
Jasny, śmiały – bo jest wolny!
Okaż wzgardę próżnéy dumie,
Co się obcym chełpić umie,
A własnego zwroty, cienie,
Miewać zwykła w małey cenie.

Jan Nep. Kamiński na początku
tłumaczeń Ballad Szyllera.

62.

Pieśń o Dzwonie

Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango.

Forma z gliny wypalona,
Stoi w ziemi mocno wryta,
Dzisiay wyydzie dzwon z jéy łona,
Czeladzi bądź pracowita:
By mistrza chwała
W dziele zabrzmiała;
Czoło potem zrósić trzeba,
O pomyślność błagać nieba.

Wiémy, że przy ważném dziele
Ważna mowa myśl zbogaca;
Okazuje wyższe cele,
Przy niéy płynie żywo praca.
Chciéymy przeto zważyć szczerze,
Co ze słabych sił wynika,
Kto co płocho przedsiębierze
Idzie w ślady nikczemnika.
Jest to człowieka udziałem
Na to ma rozsądku szalę,
Aby ważył, czuł z zapałem
Co chce ręką wydadź trwale.

Wrzućcie w piec z sosny łuczywo,
Ale z sosny która sucha,
Niech się płomień wzdyma żywo
Całą mocą w tygiel bucha.
Niech gęstość miedzi
Cyna rozrzedzi,
Aby spiż płynąc obficie
Dał dzwonowi dźwięczne życie.

Co my w tym dole pilnie jak należy,
Z pomocą ognia wypracujem w znoju,
Mieszkanie zaymie na wysokiéy wieży
Głośno nas wspomnie w dzwonowym pokoju.
Na późne czasy i wieki wytrwałe
Poruszać będzie tkliwe ucho dźwiękiem
Wtorując pieniom śpiewać Bożą chwałę
Jękom strapionych odpowiedać jękiem.
Co śmiertelnemu na ziemskim padole,
Z rąk przeznaczenia zmienne dadzą losy
W brzękliwym spiżu odezwie się kole,
Rozniesie z góry budujące głosy.
Białe bańki to znak doli,
Już się topią kruszcu bryły!
Wmieszaycie ługowéy soli,
By się prędzéy roztopiły.
Niech płyn zmieszany
Będzie bez piany.

A tak kruszec z waszéy ręki,
Wyda pełne, czyste dźwięki.

Jego to radosne brzmienie,
Szle dziecięciu pozdrowienie,
Gdy w powiciu snem ujęte,
Idzie przyjąć imię święte;
Jaki mu los z urny padnie
Jeszcze kryje przyszłość na dnie.
Matki miłość i pieszczoty,
Strzegą mu poranek złoty —
Lata lecą gdyby strzały,
Chłopiec z dzielnych sił zuchwały,
Rojąc dumne przedsięwzięcia,
Wyrywa się z rąk dziewczęcia,
Dzikim pędem w świat uderza
I wzdłuż i wszerz ziemię zmierza.
Wraca obcy, niepoznany,
W dom oycowski, w dom kochany;
Naypięknieysza w swym rodzaju,
Gdyby postać z niebian kraju
Skromna, wstydliwego lica,
Wita go w progu dziewica.
Jakaś tęskność niedoznana,
Porywa serce młodziana;
Od tey chwili spokóy traci,
Szuka ciszy błędnym krokiem,

Unika rozrywek braci,
Łzy mu płyną z ócz potokiem;
O niéy myśli bez spoczynku,
Jéy spoyrzeniem jest szczęśliwy,
Naypięknieysze kwiaty z niwy,
Daje lubéy w upominku. –
O ty słodki niepokoju!
Droga czułych serc potrzeba!
Ty z rozkoszy czerpiesz zdroju,
Ty otwarte widzisz niebo!
Oby wiecznie, wiecznie trwały
Pierwszéy miłości zapały!

Teraz włożę do roztopu,
Te laskę dla spróbowania
Wyymę ją szklistą z ukropu
Będzie właśnie czas do lania.
Ostrożność radzi
Doyrzeć czeladzi
Czy miedź twarda z miękką cyną,
Jak należy razem płyną.

Gdzie nieugiętość z łagodnością w parze,
Gdzie moc i słabość są w jednym zamiarze,
Tam i dźwięk dobry niezawodnie bywa;
Więc kto się w wieczne chce zakuć ogniwa,
Niech wprzód rozumem dochodzi,
Czy się dusza z duszą zgodzi.

Uludzenie prędko mija,
Wiecznie dręczy żalu żmija. —
W zielonym wieńcu dziewica,
Słodkim urokiem zachwyca,
Gdy ją głośny dzwon kościoła
Do ołtarza ślubów woła;
Lecz te chwile tak radosne,
Kończą oraz życia wiosnę.
Wraz z przepaską, wraz z zasłoną
Piękne omamienia wioną,
Zniknie namiętność pierzchliwa,
Niechże wytrwa miłość tkliwa,
By kwiat po wdzięku uronie,
Wydał wdzięki w swoim płonie.
Mąż losem swoim zajęty
Puszcza się w świata zamęty:
I rozmaicie,
Jawnie i skrycie,
Pracą, nauką,
Przemysłem, sztuką,
Wśrzód przygód toni,
Za szczęściem goni.
Zmienia się postać ubogiey chatki,
Strumieniem płyną zewsząd dostatki,
Rozsną zasoby dobrego mienia,
Dmą się spichlerze, dom rozprzestrzenia,

W nim rząd prowadzi,
Żona kochana;
O wszystkiem radzi,
Wszystkiem stroskana.
Jako wzór matki,
Naucza dziatki:
Jak gospodyni,
Zabiegi czyni:
Doziera, sprząta,
I wciąż się krząta,
I jak dzień Boży,
Pożytek mnoży.
I swą szkatułkę napełnia złotem,
I wartkim skręca nić kołowrotem,
I śnieżnem płótnem nabija skrzynie
I stroi półki w świetne naczynie,
I chcąc porządku razem ozdoby,
Jest każdéy doby,
W wieczór i zrana,
Niezmordowana.

Oyciec z wysokiéy domu wystawy,
Radosném w koło powłóczy okiem,
Licząc co wyrok dał mu łaskawy
Poi się szczęścia miłym widokiem;
Widzi budynków pyszne posady,
Pełne barwistych owoców sady,

I złotą falą powiewne łany.
I czystém ziarnem zaległe ściany
I styrt wyniosłych szeregi w gumnie,
I w uniesieniu chełpi się dumnie:
Mocna, jak téy ziemi trwałość
Jest mego domu wspaniałość!
Ale ze szczęściem nie ma przymierza,
Często cios zgubny nagle uderza.
Już się lanie zacząć może,
Lecz nim w formę spiż się wtoczy
Wprzód odmówmy słowo Boże!
A teraz niech czop odskoczy.
Nad domem Panie!
Miéy zlitowanie.
Wrzący strumień dymiąc błyska,
Pędzi z szumem do łożyska.

Dobroczynna ognia władza,
Człowiekowi trud nagradza,
Gdy ją karci, trzyma w mierze
Jleż pożytku nie bierze?
Wszystkie dzieła, cudów tyle,
Téy niebiańskiéy winien sile;
Lecz jak straszna ta moc święta,
Kiedy starga swoje pęta!
Kiedy gwałtem i uporem,
Swoim własnym póydzie torem.

Wolna córka przyrodzenia,
Sprawia zgubne spustoszenia!! –
Biada kiedy w ową stronę,
Gdzie ulice zaludnione,
Rosnąc nagle i bez miary
Roztoczy srogie pożary!
Bo żywiołów złość się wscieka
Nie nawidzi dzieł człowieka.
Brzemienne deszczem obłoki
Pożywne soki,
Z niemi obfitość
Życie i sytość,
Sączą na niwy;
Lecz w mgnieniu oka,
Bije z wysoka
Piorun szkodliwy!
Słyszycie jak na wieży zawyła już trwoga!
To pożoga!
Ognista łona
Jak krew czerwona
Niebo oświéca;
Nie wschód to słońca ani xiężyca.
Rozruch grucha,
Dym wybucha,
Płomień łakomy
Wpada na domy,

I chyżym biegiem,
Trawi szeregiem,
Długich ulic gmachy.
Spłonęły dachy!
Z strasznym łomotem
Hukiem i grzmotem
Wśród ognia walki
Pękają bałki;
Walą się góry
Sklepienia, mury;
Ziemia stęka, okna brzeczą,
Dzieci skwirczą, matki jęczą;
Bydlęta pod zwaliskiem
Rykiem i piskiem
Żebrzą pomocy;
Lecz każdy pierzcha, chwyta, ucieka;
Jasny dzień z nocy!
W powietrzu spieka
Bardziey się wznieca,
Zieje jak z pieca;
Wiadro z rąk do rąk długim łańcuchem,
Mknie duchem,
A wysokiemi łuki
Mocą sztuki
Tryskają w płomienie
Wody strumienie.

Okropnie wyjąc i łaknąc pożogi
Swiszczącém skrzydłem leci wicher srogi;
Wnet wściekły płomień nową siłę bierze,
Przenika z trzaskiem składy i spichlerze
I jakby ziemię chciał zerwać z jey osi,
Potężnym pędem w górę się unosi,
Pnie się w obłoki, aż pod niebo wzdyma
Nakształt olbrzyma!...
W tey nieszczęść kolei,
Człowiek bez nadziei
Przed silném Boga korząc się ramieniem,
Patrzy z zadziwieniem
Jak jego dzieło po dziele
Niknie w popiele.
Leży pośrzód tomów
Pozostałość marna,
Z okien pustych domów
Patrzy zgroza czarna,
Obłoki śmiało zaglądają z góry
W posępne mury.
W takim stanie strapienia
Na grób swojego mienia
Jeszcze raz człowiek zwraca smutne oczy
A choć go widok ciężkiey doli tłoczy,
Skarb mu naydroższy zostaje w zdobyczy:
Naymilsze głowy z troskliwością liczy,

I oto: żadnéy nie zbywa!
Za kiy pielgrzymski wesoło porywa.
I nie pomnąc o biédzie,
W świat idzie.
Już płyn w ziemi towarzysze,
Forma szczęśliwie nalana,
Ale czy skutek dopisze?
Bywa klęska niespodziana.
A gdy śpiż zdradził,
Formę rozsadził?
Ach częstokroć w jedney chwili,
Szczęście błyśnie i omyli.

My ciemnemu ziemi łonu
Zwierzamy naszą robotę,
Ziemianin w nadziei plonu
Powierza mu ziarno złote,
Droższe jeszcze w smutnéy dobie
Ukrywamy ziarno w grobie,
Tą nadzieją kojąc żale
Że ma z trunny zeyśdź wspaniale!
Smętnemi tony
Jęknęły dzwony
Z wieży u fary;
I dźwięk żałosny prowadzi mary.
Odpocząć idzie w nieznajome strony,
Pielgrzym strudzony.

Ach jestto małżonka droga,
Matka czuła i troskliwa,
Którą, xieni cieniów sroga,
Z ramion męża w grób porywa:
Z koła dziatek, które ona
Tuląc z rozkoszą do łona,
Z wielu nocy niepokojem,
Wykarmiła piersi zdrojem.—
Zgasła wiecznie zorza miła
Słodki węzeł serc zerwany,
Ta co matką domu była,
Zamieszkała kray nieznany!
Już nieczuwa jéy źrzenica,
Która miała dom na względzie,
Teraz zrzędna najemnica,
Biednych siérot panią będzie!—
Dopóki dzwon nieochłodnie
Ciężką zostawcie robotę,
Niech spocznie każdy wygodnie
Jak ptak leci na ochotę.
Gdy po niesporze
Zabłyśnie zorze,
Czeladź panem swojéy woli
Mistrz się i w nocy mozoli.

Wędrownik bez czasu straty
Przez las żywym śpieszy krokiem,

Aby przed nocy zaskokiem
Do rodzinnéy zdążył chaty.
Powracają do zagrody
Beczące trzody!
Doyne krowy głoszą rykiem
Że idą z mlékiem.
Zalega znane obory
Gmin różnowzory.
Wóz skrzypiący pod cieżarem
Z Bożym darem,
Toczą woły
Do stodoły:
A żeńcy z łanu
Skończywszy żniwo
Spieszą żywo
Z wieńcem do tanu.
Gwar po ulicach ciszyć się poczyna,
Swiatło przyjemnym połyskuje blaskiem,
Przy niem zasiada domowa drużyna,
A mieyska brama zamyka się z trzaskiem.
Czarną oponą noc ziemię zaściela
Serce zbrodniarza razi głęboko,
Słodki prawego sen obywatela,
Bo nad nim czuwa ustawy oko.
Swięty porządku! szczęśliwości zdroju!
Ty wszystko w mocnym utrzymujesz spoju,

Wszystko wesoło, łatwo i przyjemnie,
Wolném ogniwem kojarzysz wzajemnie;
Tyś miast budowie dał trwałe posady,
Zwabił w nie dzikie ze stepów gromady:
Ty do ludzkiego wstąpiwszy mieszkania
Wniósł obyczaje, ułagodził zdania:
Tyś usnuł węzeł nigdy nieprzecięty,
Wskrzesiwszy miłość ku oyczyźnie świętéy!
W ruchu ciągłym rąk tysiące
Twoja utrzymuje władza,
Łącząc siły działające
Wspólnéy potrzebie zaradza.
Pod świętą wolności tarczą
Każdy czynny w swym zakresie
Ile jego siły starczą,
Powszechności korzyść niesie.
Praca trud zawdzięcza plonem
Ona ozdobą człowieka,
Król się szczyci swoim tronem
A nas chwała z pracy czeka.
O wdzięczna zgodo! o pokoju luby!
Życie w tém mieście, chrońcie je od zguby!
Oby w téy cichéy i żyznéy dolinie
Srogi wojownik co zburzeniem słynie,
Nigdy zwycięzkim nie postąpił krokiem,
A krew się bratnia nie lała potokiem!

Niech na tém niebie które od promieni
Wieczornéy zorzy miło się rumieni,
Pożarem włości i miast z czerwieniona,
Nigdy okropna nie zaświeci łona!..
Nasz zamiar forma ziściła
Trzeba ją stłuc silnym razem
Niech się zjawi postać miła
Pasie oko swym obrazem.
Uderzcie młotem:
Płaszcz pękł z łoskotem!
Aby dzwon zmartwychwstał z grobu,
Innego nie ma sposobu.

Mistrz się rządzi doświadczeniem,
Stłucze formę w dobrą porę;
Biada! gdy śpiż wrząc strumieniem,
Sam rozsadzi swą zaporę.
Ślepo leci siła wściekła,
Z hukiem pęka dom glinany,
I jak gdyby z paszczy piekła,
Leje ogień niewstrzymany.
Pośrzod sił zhukanych gwałtu
Żaden twor nie weźmie kształtu,
Zgubna w tenczas ludu władza
Kiedy się sam oswobadza.
Biada krajowi kiedy się w miast łonie
Skrytéy podniecie zgromadzić dozwoli

Gdy lud orężem uzbroiwszy dłonie
Rozbija jarzmo sromotnéy niewoli.
Wtenczas za powróz szarpie rokosz srogi,
Dzwon poświęcony do dźwięków pokoju,
Wyjącym głosem rozszerzając trwogi,
Wydaje hasło gwałtu i rozboju.
Wolność i równość brzmią zewsząd okrzyki,
Zbiega się tłuszcza z naydalszéy ustroni,
Kupami ciągną srogie rozboyniki,
Cichy mieszczanin bierze się do broni.
Wtenczas niewiasty jak hyeny krwawe,
Żywcem wnętrzności rwą z nieprzyjaciela,
Naywiększa zgroza sprawia im zabawę,
Mściwość złukana wściekłości udziela.
Wszystko co świętém, doznaje sromoty,
Gorszy się, skromność bezwstydu widokiem,
Zbrodnia bezkarnie bierze mieysce cnoty,
Gwałt i bezprawie chodzą wolnym krokiem.
Lew przebudzony nie zna miar srogości,
Strasznym jest tygrys kiedy się zacieka,
Lecz naystrasznieyszém z wszystkich okropności,
Jest niezawodnie szaleństwo człowieka!
Srogo ten błądzi kto ślepemu wiecznie,
Swiętey wolności pochodnią podaje;
Ta mu nieświeci, owszem działa sprzecznie,
Zamienia w popiół i miasta i kraje.

Powiodła nam się robota,
Praca nasza nie jest marną
Patrzcie gdyby gwiazda złota
Łuszczy się spiżowe ziarno.
Na wszystkie Końce,
Łyska jak słońce,
Nawet obraz herbu gładki
Chwali mistrza talent rzadki.

Teraz czeladzi, wesoło!
Weź się za ręce, stań w koło:
Dzwon chrztu żąda w dobréy wierze
Niech concordia na imie bierze,
By do jedności i serdecznéy zgody,
Na odgłos jego lud spieszył w zawody.
I to niech jego powołaniem będzie,
Bo mistrz jedynie ulał go w tym względzie!
Niech zawieszony nad ziemską niziną
Pod lazurowym obłoków namiotem,
Z gwiezdzistą odtąd graniczy krainą,
Mieszka w sąsiedztwie z piorunem i grzmotem;
Niech głos pochwalny wzbije w owe strony,
Gdzie jasnych planet niezliczone krocie,
Wiodąc rok z sobą laurem uwieńczony
Czczą Stwórcę świata w odwiecznym obrocie;
Niech do świętego na zawsze obrzędu,
Użytą będzie jego własność brzmiąca,

Niech potrącony od godzin popędu,
Chyży czas w locie skwapliwie potrąca;
Choć sam nieczuły, martwy i bez duszy,
Niech towarzysząc żywota odmianie
Serca śmiertelnych do czucia poruszy.
I przeznaczenia tłumaczem się stanie.
Niech napomina, że jak jego brzęki
Potężnie rosną, i wnet w uchu mdleją,
Tak wszystko w świecie idąc z czasu ręki,
Za czasem wionie i niknie koleją.

Teraz za pomocą liny,
Dzwon należy dźwignąć z ziemi;
By wszedł do dzwięku krainy,
Ciągniycie siły wszystkiemi!

Rusza się, chwieje,
Spełnił nadzieje!

Niechże nam z górney ustroni,
Radość i pokóy zadzwoni.

tłumaczenia J. N. Kamińskiego.

Rękoymia.

Ballada *)

Gdzie mieszkał tyran Dyonizy srogi,
Meros z żelazem wkradł się utajonem,
Zbiry go jęły, stawiły przed tronem!
Po co z sztyletem weszedłeś w moje progi?
Rzecze mu tyran ochłonąwszy z trwogi.
„Chciałem oyczyznę oczyścić z poczwary!“
Srogiey na krzyżu nie uydziesz mi kary.

Umrzeć odważnie będzie moją chlubą,
O życie moje nie proszę cię wcale,
Chcesz jednak ze mną obeyśdź się wspaniale,
Day trzy dni czasu, bym przed moją zgubą
Mógł jeszcze wydać za mąż siostrę lubą;
Przyjaciel chętnie stanie ci w porękę,
On, gdy niewrócę, zniesie każdą mękę.

---

*) Ballada, należy do gatunku poezyi heroicznéy, jest to romantyczny opis tłumaczenia się ludu, wyłożony. –

Król się uśmiechnął i z obłudną miną
Po krótkiey chwili tak do niego rzecze:
Niech się twa kara na trzy dni odwlecze,
Ale gdy chwile tey zwłoki przeminą,
A ty nie staniesz, spóźnisz się godziną,
On w srogich mękach na twém mieyscu skona,
Tobie zaś kara będzie odpuszczona.

Meros do swego idzie przyjaciela;
Król chce ażebym móy zamach ukryty
Opłacił życiem na krzyżu przybity,
Jednakże trzy dni zwłoki mi udziela,
Póki nie sprawię mey siostrze wesela;
Chciey bydź poręką dla mnie w tey potrzebie
Aż ja powrócę i uwolnię ciebie.

Przyjaciel milcząc żegna go ściśnieniem
A sam się stawi pod straż tyranowi,
Tamten się puszcza ku siostry domowi.
Nim trzecia zorza błysnęła promieniem,
Już się ułatwił z siostry zaślubieniem,
J już z obawą jak nayspiesznicy leci,
By przeznaczony nie minął dzień trzeci.

Tu deszczem lunie chmura natarczywa,
Lecą z gór nagle zapienione ścieki,

Wznoszą się stawy, nadymają rzeki,
On z kijem w ręku do brzegu przybywa,
Bystry pęd wody pokład mostu zrywa,
A bałwan z grzmotem uderzając w łuki
Wraz ze sklepieniem trzaska je na sztuki.

A on po brzegu w obłąkaniu chodzi,
Patrzy, zagląda, jak daleko zdoła,
Głos wzywający posyła do koła,
Ale pomocney nikt mu nie szle łodzi,
Nikt się nieważy płynąć wśród powodzi,
Zhukanych nurtów żaden flis nie porze,
Tym czasem rzeka zamienia się w morze.

On wzdycha, płacze, i klęka na brzegu,
Podnosi ręce do Pana nad pany:
„Jowiszu! poskrom szalone bałwany
„Czas śpieszy, słońce w południowym biegu,
„A jak się spuści w morze do noclegu,
„A miasta moje nie osiągną kroki,
„Zginie kochany przyjaciel bez zwłoki."

Lecz strumień rośnie coraz bardziey wzdęty,
Tłuką się fale, jedna drugą rodzi,
A tak godzina po godzinie schodzi;
On na ten widok rozpaczą przejęty,

Rzuca się dziko w bezdenne odmęty,
Silném ramieniem porze wartkie wody,
A Bóg łaskawy wiedzie go bez szkody.

Dopływa brzegu i bez straty czasu,
Bogu dziękując krok żywo podwaja;
A w tym do niego skryta zboyców zgraja
Z ciemnego nagle wyskakuje lasu,
J łaknąc łupu wznosi wsrzód hałasu
Okropny topor i maczugę srogą
Broniąc mu zewsząd dalszą bieżyć drogą.

„Puśćcie mnie! krzyknie i bez duszy stanie,
Nacóż to życie wam się przydać może,
Które sam dzisiay u nóg króla złożę
Nad przyjacielem mieycie zlitowanie!"
W tém rwie maczugę zbóycy niespodzianie,
I uderzając potężnym zamachem,
Trzech kładzie reszta ucieka ze strachem.

Lecz skwarne słońce straszną sieje spiekę
Wątli mu siły nuża niesłychana,
Chwiejące pod nim łamią się kolana:
„O ty coś pomógł bystrą przebydź rzekę,
Coś mnie od zbóyców w twoją wziął opie-
-kę,

Chceszże bym tutay me oczy zawiérał,
A ten przyjaciel na krzyżu umiérał?"

Aż tu coś szemrze, niby srebrem łyska,
Właśnie jak strumyk, kiedy mknie poskokiem,
On wstaje, słucha, chciwém patrzy okiem,
Widzi jak szybko i tuż przy nim zbliska
Świegotnie gwarząc żywe źrzódło tryska.
Nieznając miary w zachwyceniu swojem,
Przylęga chyżo, krzepi siły zdrojem.

Słońce rzęsisto strzela w liść zielony,
I pozłacając szczytnych drzew dywany,
Maluje po nich cieniste bałwany.
Aż dway podróżni w te się jawią strony,
On ku nim pędzi z wiatrem na przegony,
Słyszy jak mówią będąc już w pobliżu:
„Teraz go właśnie wieszają na krzyżu."

A on w skok bieży tą wieścią przeszyty
Pędzi go trwoga, zgryzota bez końca,
W tém od promieni zachodniego słońca
Błyszczą się zdala Syrakuzy szczyty;
A tu Filostrat, sługa pracowity,
Wierny stróż domu, w drodze go spotyka,
Poznaje pana i z trwogą wykrzyka:

Uchodź nieszczęsny! ratuy własne życie!
Dla przyjaciela późna twa obrona,
Oto w tey chwili na krzyżu już kona;
Aż do ostatka wytrwał należycie
Z każdą godziną ufał w twe przybycie,
Nie dał się strwożyć szyderstwem tyrana,
Niczem nie była wiara w nim zachwiana.

„Jeżli niezdołam mieć tego wesela,
Abym wczas przybył na jego obronę,
Niechże z nim razem me życie wyzionę.
Niech się tym chełpić tyran nieośmiela,
Że mógł przyjaciel zdradzić przyjaciela,
Niech we dwie razem ofiary uderzy,
A w wierną przyjaźń niechay odtąd wierzy."

I o zachodzie przybiega pod mury,
Ze zgrozą widzi krzyż już wystawiony
Ciekawą tłuszczą w koło otoczony;
W tym przyjaciela kat ciągnie do góry.
On przez gawiedzi przebija się chmury
I krzyczy: stóycie! oto jestem, stóycie!
Jam to przewinił mnie więc zamordujcie!

Zdziwia lud wszystek taka nagła zmiana,
Oni serdecznie ściskają się oba,

Łzy im wyciska radość i żałoba:
Rozrzewnia widzów wierność dochowana,
A ta wieść dziwna dochodzi tyrana;
Ludzkość porusza w nim serce z opoki,
Każe ich stawić przed tronem bez zwłoki.

I długo na nich patrzy z zadziwieniem,
A potym rzecze: „Sam to wyznać muszę,
Udało wam się zmiękczyć moją duszę.
Wierność jak widzę nie jest urojeniem,
Żyć zawsze z wami jest mojem życzeniem,
Tak rzadkiey pary nigdy nierozdziele,
Wszyscy trzey odtąd bądźmy przyjaciele!"

Tłum. I. N. Kamińskiego.

Nurek.

Ballada.

Przekładu J. N. Kamińskiego.

Rycerz lub giermek, kto z mezkiey ochoty
W tey się otchłani zanurzyć ośmieli?
Oto w nią rzucam puhar szczerozłoty
Już go połknęła czarna paszcz topieli.
Kto mi ten puhar wydobędzie z wody,
Weźmie go w darze jako znak nagrody.

Król tak ogłasza i w tey samey porze
Ze szczytu skośney chropowatey skały,
Co się w otwarte wychyliła morze
Ciska w głąb puhar między wściekłe wały.
Któż się odważy powtarzam pytanie,
Pornąć i zgłębić te wodne otchłanie?

Słyszy to orszak giermków i rycerzy,
J wszyscy milczą bojaźnią przejęci,
Bezdenność morza każdy okiem mierzy,
Lecz puhar zyskać żaden niema chęci;
A król się pyta po raz trzeci znowu:
Niemasz nikt serca do tego połowu?

Nurek
Ballada.
Przekładu I. D. M.

Rycerz lub giermek, kto ma tyle męztwa?
Kto się w téy toni zanurzy?
Złoty w nią rzucam puhar, nagrodę zwycięztwa,
Już go paszcza połknęła, a piana się burzy!
Kto mi ten puhar znowu okaże,
Jest jego panem, ja go nim darzę.

Król nim to wyrzekł, z wysoka skały
Któréy wiszące urwiska
Sterczą po nad morza wały,
Puhar w ryczącą Charybdę ciska;
Kto jest tak śmiały, powtórzy,
Co się w téy głębi zanurzy?

Słyszy to grono giermków i rycerzy,
Lecz usta milczą z bojaźni,
Każdy z nich okiem dzika przepaść mierzy,
A złoty puhar nikogo nie drażni.
A po raz trzeci Król wszystkich zagadnie:
Niktże to niechce szukać kubka na dnie?

Kamińskiego.

Wszyscy zostają w milczeniu głębokiem
W tém z tąd gdzie giermków strwożonych drużyna,
Skromny młodzieniec śmiałym idzie krokiem,
Zrzuca pas z siebie, żywo płaszcz odpina.
A ta odwaga w koło przestrach szerzy,
Zdziwia niewiasty i mężnych rycerzy.

Młodzieniec staje na pochyłéy skale,
W otwartą przepaść mocno wlepia oczy,
W tém wir te same które połknął fale,
Z okropnym rykiem na powierzchnią toczy,
I jakby grotnem bijąc zawierucha,
Z czarnéy zatoki straszny wał wybucha.

I wre i kipi, i huczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumną pianę ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

Wszelako wściekłość skromić się poczyna,
A z białéy piany razem niespodzianie,
Rozdziewia paszczę czarna rozpadlina,
Bezdenna, jakby szła w piekieł otchłanie;

J. D. M.

Ale nic przerwać ciszy nie zdoła,
A młodzian piękny i choży
Wystąpi z giermków trwożliwego koła,
I pas odepnie i płaszcz z siebie złoży. —
Zewsząd męże, niewiasty, ktokolwiek był w tłumie
Patrzy a z zadziwienia pojąć się nie umie.

On sam na kruchéy stanąwszy krawędzi,
W otchłań okropną poziéra,
Szumne Charybda fale na dno pędzi,
Znowu je z paszczy żarłoczney wywiéra,
A rycząc jak grzmot zdala kiedy groty ciska,
Walą się brudne piany z czarnego łożyska.

Słychać jak szumi, świszcze, wre, ciska się, burzy,
Jak kiedy woda z ogniem się spiera,
Biją w niebo bałwany, dym się mokry kurzy,
A choć bez końca wał wały pożera,
Nic nie wyczerpa téy wieczney powodzi,
Zda się że morze drugie morze zrodzi.

Wreszcie się rozhukanych wód siła układa,
A w posrzód białawey piany
Krztusi się czarna topiel, zieje i rozpada,
Czernią się w głębi piekieł obnażone ściany,

Kamińskiego.

Kręcą się fale i warczą w zatopie
Wir je w głąb ciągnie i skwarpliwie złopie

Tu się, nim wybuch znowu wrócić zdoła,
Młodzieniec boskiéy poleca obronie,
I... przeraźliwy słychać krzyk do koła,
Już się zanurzył, już w odmęcie tonie;
Pełna tajemnic paszcza się zamyka,
Odważny nurek z oczu nagle znika.

Wraz na powierzchni panuje milczenie,
Pod wodą tylko stęka huk daleki,
Do koła słychać głębokie westchnienie:
Dzielny młodzieńcze zginąłeś na wieki!
Wir coraz niżéy wyje po głębinie,
Każdy drząc czeka, czy nurek wypłynie.

Gdybyś koronę w te chciał rzucić tonie,
I rzekł: kto zdoła wydobydz ją z wody,
Zostanie Królem, osiędzie na tronie;
Jabym tak drogiéy wyrzekł się nagrody
Bo co ta przepaść w swéy głębi ukrywa.
Tego nie powié żadna dusza żywa.

Nie raz od wiru pochwycona nawa,

I. D. M.

Natychmiast lotem strzały fala falę goni,
I niczém niezwrócona w wrzącéy ginie toni.

Spiesznie nim potok z dna przepaści wróci,
Młodzian się Bogu oddawa,
I w posrzód krzyku zlękłych, w straszną otchań rzuci;
Kręty się pod nim odmęt rozkrawa,
A w jednem oka mgnieniu paszcza tajemnicza
Porywa odważnego z przed ludu oblicza.

Scichła nawałność, jeszcze tylko dyszy
Głucho w bezdennym przestworze,
Drżące modły okropność przerywają ciszy:
Smiały młodzieńcze, szczęść Boże!
Ale głucho podziemne wyją tonie głucho,
A milcząc płomną serca zdradzają otuchą. —

Chociażbyś twoją rzucił koronę tyranie,
I rzekł: kto wróci ją z wody,
Niech ją sam nosi i królem zostanie —
Nie złudziłbyś mnie blaskiem twéy świetnéy nagrody,
Co tam otchłań rycząca na swem dnie ukrywa
Tego żadna nie powie szczęsna dusza żywa.

Ach! już nie jedna nawa z tym nurtem porwana,

Kamińskiego.

Skryje się nagle w téy strasznéy głębiźnie
Lecz grób żarłoczny łupu nieoddawa,
Ledwie się czasem jaki szczęt wyśliźnie –
Tu coraz bliżéy odzywa się burza,
I mocniéy ryczy i już się wynurza.

I wre i kipi i chuczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumne piany ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

I oto z czarnych nurtów topieliska
Coś się wybija bielszego od śniegu,
Wyjawia ramię, jasnym grzbietem łyska,
I co ma siły porze się do brzegu.
Aż to on! puhar trzyma w lewéy dłoni
Już nim wywija, wyskakuje z toni.

Oddycha długo, oddycha głęboko,
Swiatło dnia wita i modły zasyła
Krzyk się radosny rozlega szeroko:
Żyje! ach żyje! otchłań go wróciła.
Z mokrego grobu, z przepaścistéy wody,

I. D. M.

W bezdenną głęb się zapadła,
A tylko drzazga z masztu i deszczka strzaskana
Z żarłoczney się paszczęki na górę wykradła —
W tém głośniey, coraz głośniey, jak gdy burza huczy,
Bliżey i jeszcze bliżey war podziemny mruczy.

Słychać jak szumi, swiszcze, wre, ciska się, burzy,
Jak kiedy woda z ogniem się spiera,
Biją w niebo bałwany, dym się mokry kurzy,
Wieczystém prawem wał wały pożéra,
A rycząc jak grzmot z dala kiedy groty ciska,
Walą się brudne piany z ciemnego łożyska

Nieba! cóż się tam z łona mętnych wód przebija?
Sniezna jak łabędź wypływa
Ręka i obnażona połyskuje szyja.
Ostatnich sił gasnące życie wydobywa;
To on, on sam! unosząc w lewey puhar dłoni,
Radosne daje znaki nad powierzchnią toni.

Ciężkie długie westchnienia pierś czerpając rośnie,
Oko niebieskie promienie wita,
Cieszy się każdy i woła radośnie:
On żyje! i w zdumieniu — czyli żyje? — pyta.
Z głębi wściekłey przepaści, z naysroższey katusze;

Wydobył duszę, powrócił bez szkody.

On się przez natłok przebija do króla,
J wśród okrzyków pada na kolana
„Oto jest puhar, spełniona twa wola!"
A król znak daje: córka ukochana
Aż pod wierzch w puhar nalewa mu wina;
Tu dzielny młodzian tak mówić zaczyna:

Żyy długo królu! niech szczęścia używa
Kto tu oddycha i widzi dzień miły!
Lecz tam pod wodą mieszka śmierć straszliwa
Bogów doświadczać jest zamiar nad siły,
Próżno chce człowiek odkryć to przemocą,
Co oni zgrozą pokryli i nocą.

Gdy mnie wir chwycił, piorunem leciałem,
W tém rwiący strumień z pod wodnéy opoki
Wściekłym na poprzecz buchnął na mnie wałem
Wraz mnie ujęły podwóyne potoki
J bystrym pędem wylękłego strachem,
Kręciły w koło potężnym zamachem.

Tu Bóg któremu me usta zdrętwiałe
W téy strasznéy trwodze zasyłały śluby,

J. D. M.

Odważny z grobu żywą uratował duszę.

Już spieszy, spieszy gęstą przerzynając chmarę,
J acz po tak wielkim czynie
Gnie przed królem kolano i oddaje czarę,
A król na córę nadobną skinie, — —
Ta lśniącem puchar winem po sam brzeg naléwa,
A młodzian w te do króla słowa się odzywa.

Żyy długo królu! niech ten żyje błogo,
Kto w czystém świetle oddecha!
Ale tam wszystko śmiercią tchnie srogą.
O! niechay człowiek Bogów doświadczać zaniecha;
Niech nigdy wyrzeć tego nie pragnie swém okiem,
Co noc i groza świętym ich kryje wyrokiem.

Pchnęły mię fale szybko gdyby błyskawicą,
W tém z twardéy prysła opoki
Tocząc bystre na poprzecz bałwany krynica,
Wściekłą mnie pochwyciły siłą dwa potoki,
A jak wzięły mną kręcić, puszczać i znów imać,
Zawrot zmysły ogarnął, nie mogłem się wstrzymać.

Otoż Bóg modły usłyszał gorące,
Bez niego byłbym zaginał,

Kamińskiego.

Wskazał mi z głębi w bok stérczącą skałę,
Jąłem się chyżo i uszedłem zguby.
Tu się i puhar zaplątał w koralach,
I tak w bezdennych nie zaginął falach.

Bo jeszcze bardzo głębokie przestrzenie
Kryła podemną szkarłatna powłoka,
A choć tu wieczne mieszkało uśpienie
Przecież widziałem z wstrętem mego oka,
Że smoki, żmije i różne poczwary,
W piekielnéy paszczy snuły się jak mary.

W nayszkaradnieysze pozwijane kłęby
Rojem kipiały okropne straszydła
To roch kolczasty, to tracz ostrozęby
To młot potwora straszna i obrzydła:
Kły wyszczérzając już się ku mnie wlekła
Morska hyena, hay, poczwara wściekła. *)

Tam ja wisiałem sam jeden i drżący
Ludzkiey pomocy całkiem pozbawiony

---

*) Roch, tracz, młot i hay są gady pływające. Ostatnie źwierze jest bardzo żarłoczne, płynie częstokroć sto mil za okrętami, chwyta czapki kapelusze wyrzucone i t. p.

I. D. M.

W samey toni ukazał grzbiety skał sterczące
Schwyciłem się ich raczo i z śmiercią się minął;
Spoyrzę, czara się łyszczy:– koral ją kolczaty
Zatrzymał i od wieczney wybawił zatraty.

Jeszcze podemną przepaść leżała głęboka
Modrym pokryta odmętem,
A choć tu wszystko wiecznie taynem jest dla oka,
Jednakże moje oko widziało ze wstrętem
Jak salamandry, padalce i smoki
Snuły się w paszczy piekielney zatoki.

W kłęby się mieszanina zwijała obrzydła
Pełna trucizny i grozy,
Tutay rochy kolczate, obmierzłe trzesidła,
Tam bezecnie stworzone młoty i połozy
A ziejąc wyszczerzała kieł swóy jadowity
Straszliwa morz hüena – hay nigdy niesyty.

Tum ja to wisiał.– Jestże gdzie sroższa katusza?
Ludzkiey pozbawion pomocy,

Kamińskiego

Między potwory jeden czuciem tchnący,
W strasznéy samocie śmiercią zagrożony,
W głębokiey puszczy, wśród gadów łożyska
Gdzie ludzkiéy mowy odgłos się nie wciska.

Tak zostawałem w okropnéy obawie:
Aż tu coś pełznie sto pomyka członków,
Chce mię pochwycić: ja bez zmysłów prawie
Puszczam się jętych korału korzonków.
Wnet mię z wściekłością chwyta woda wrząca,
Ale na szczęście do góry wytrąca.

Król go wysłuchał z wielkiem podziwieniem
A potym rzecze: weź ten puhar złoty,
I tym cię jeszcze odarzę pierścieniem,
W którym jak widzisz są drogie kleynoty,
Gdy znowu wskoczysz i powiesz dokładnie
Co tam w tym wirze ukrywa się na dnie.

Słyszy to córka nadobna i tkliwa,
Ach drogi oycze! rzecze rozczulona
Niech ci się srogich igrzysk niezachciwa
Co on wykonał, żaden niewykona,
A gdy większego męztwa chcesz w ofierze,
Rozkaż niech giermka zawstydzą rycerze.

J. D. M.

Pomiędzy widmy jedna czuciem tchnąca dusza,
Jedna tylko w okropney i samotney nocy.
Tam gdzie nigdy głos ludzkiey mowy nie dosięże,
Gdzie się ochydnych poczwar płód od wieków lęże.

Groza pomyśleć, jak gad z każdey strony
Czołgał się setne rozwijając członki,
Już rozdziawiał paszczękę — strachem przerażony
Puszczam korału wybawcze korzonki,
Lecz w tém potok szalony z dna przepaści wrócił,
Pochwycił mnie, i szczęściem do góry wyrzucił.

To król z nieznaném słysząc podziwieniem,
Twóy, rzecze, jest puhar złoty,
A jeszcze cię tym obdarzę pierścieniem,
W którym naydroższe widzisz kleynoty,
Jeźli mi w wierney doniesiesz powieści,
Co się na dnie ostatniem morskiey głębi mieści?

Słyszy to córa, litość serce ściska, —
Pieszczonym głosem rzecze zlękniona:
Ach! dosyć oycze srogiego igrzyska,
Czego ten wam dokonał, żaden nie dokona,
A jeżeli chęć dzika górę w sercu bierze,
Niechayże giermka zawstydzą rycerze.

Kamińskiego.

Ale tey prożby król nie ma na względzie,
Porywa puhar w przepaść wiru ciska:
Jeźli go śmiałość twoja wydobędzie,
Staniesz się godnym rycerza nazwiska,
I z tą, co teraz mey litości wzywa,
Dziś jeszcze ślubne złączą cię ogniwa.

To go przenika, gdyby błyskawica
Z ócz mu się iskrzy, odwaga goreje,
Spoyrzy na przedmiot, bardziey się zachwyca,
Widzi jak płonie, mieni się i mdłeje,
Piękność nagrody wzmaga w nim żądanie,
Po śmierć lub życie rzuca się w otchłanie.

Że wybuch wraca, słychać to zdaleka,
Okropnym hukiem ogłasza się wprzody,
Królewna z łzami schyla się i czeka;
Wszystkie a wszystkie powracają wody,
Toczą się w górę, toczą w głąb powodzie,
Ale młodzieniec zostaje na spodzie.

J. D. M.

A król za puhar pochwyciwszy żwawo,
Przecież go w otchłań wymierza,
Wróć go, rzecze, natychmiast, a daję ci prawo
Szczycić się znakomitém nazwiskiem rycerza,
I dziś jeszcze małżeńskie spoją cię ogniwa,
Z tą, która tu dla ciebie méy litości wzywa.

Niebieska władza serce młodzieńca porywa,
Odwaga iskrzy mu oczy,
Spoyrzy - rumieniec lice królewnéy pokrywa,
Bladość ściéra rumieniec, pierś westchnienia tłoczy.
To zbyt piękna nagroda by jeszcze wybierać
Rzuca się dla niéy, dla niéy chce żyć lub umierać.

Słychać jak fale wrą na dnie głębokiem,
Już łoskot przyyście ich głosi,
Kładą się z wolna przyjemnym widokiem,
Wznosi się woda, coraz wyżéy wznosi,
Wzbija się na wiérzch i znów się utraca,
Ale młodzieniec nie wraca.

Do Radości.

Tłum. J. M.

O radości! ty płomieni
Swiętych iskro, darze drogi!
Twym oddechem upojeni,
Przed twojemi stajem progi.
Przesąd srogie berło traci
Kędy promień twóy przyspieje,
Ile ludzi tyle braci,
Skoro skrzydło twe powieje

Chór.

Do méy piersi swiat niech leci
Leci w moje uściśnienie,
Oto bracia – gwiazd sklepienie
Nad niém oyciec a tu dzieci.

Komu niebo znaleźć dało
Skarb naydroższy przyjaciela
Kto małżonkę posiadł stałą
Ten ma prawo do wesela.
Jeźli serca głos zrozumiał
Nas zrozumieć także zdoła,

Do Radości

Przekładu E. W. Kainki.

O radości iskro bogów!
Córko z Elizeyskich cieni!
Stajem czuciem upojeni,
Niebianko, u twoich progów.
Ty łączysz tkliwą postacią
Co przesąd sroga rozrywa
A wszyscy stają się bracią
Gdy ich twe skrzydło okrywa.

Chór

Miliony ludzi ziemi
Obeymę mém uściśnieniem;
Bracia! tam nad gwiazd sklepieniem,
Oyciec dobry nad wszystkiemi

Komu szczęście dopisało
Mieć wiernego przyjaciela
Lub posiada żonę stałą
Niech radość z nami podziela
I kto tylko zna kochanie
Niech wesoły hymn zanóci

I. M.

A kto cieszyć się nie umiał
Niechże z płaczem wyydzie z koła.

Chór.

Niech radości hymn weselny
Wszędzie Bóstwa dzielność głosi
Niechay się pod nieba wznosi
Niech go słyszy Nieśmiertelny!

Radość piją wsze istoty
Piją z piersi przyrodzenia;
Ma ją dobry za swe cnoty,
I zły czeka jey skinienia.
Nam została miłość, wino,
Przyjaźń, któréy śmierć jest niczem:
Robak cieszy się godziną
Cherub boskiém zaś obliczem.

Chór.

Czołem, ludów miliony!
Poznay twórczą dłoń stworzenie!
Nad gwiaździste wstąp sklepienie,
Przed niebieskie paday trony.

E. W. K.

Lecz nieczuły w każdym stanie
Niech grono nasze porzuci.

Chór

Co tę ziemię zamieszkiwa
Wszystko hołd miłości głosi!
Ona do niebios unosi,
Gdzie nas Wieczny oczekiwa.

Radość mają wszyscy w darze
Z pełnych piersi przyrodzenia
I cnotliwi i zbrodniarze
Wszyscy czują jey natchnienia
Nam z całunkiem dała wino
Spełnimy je przed śmierci zmrokiem,
Robak cieszy się godziną
Cherub zaś Boga widokiem.

Chór.

Hołd składacie miliony?
Znasz Stwórcę twego stworzenie?
Patrz na gwiaździste sklepienie!
Nad niem mieszka Nieskończony. *)

---

*) Reszta zginęła. Pisałem to w r. 1812. wolałem przeto niedokończać tu tłumaczenia, abym miał pamiątkę dawnéy méy wyobraźni.

J. M.

Radość duszą przyrodzenia,
Dzielną życia jest sprężyną,
Do niey wszystkie dążą tchnienia
W żyłach soki prędzey płyną.
Ona z ziarna wabi kwiaty,
Z firmamentu słońce rame,
I w powietrzu toczy światy
Szkłem Tychona niedoyrzane.

Chór

Rycerz cieszy się wawrzynem,
Raduje się jasne słońce
Że obiegło światła końce;
My się cieszmy dobrym czynem.

Ona to do serc zwątpiałych,
W zwierciedle się prawdy śmieje;
W drodze cnoty krzepi stałych,
Wspiéra wątłe w nich nadzieje.
Na słonecznym wzgorzu wiary
Jey to święta flaga wiewa
Ona to przez grobów szpary
Z anielskiemi chory śpiewa.

Chór.

Niechay cierpi umysł mężny!
Dla lepszego cierpi świata;
Po nad gwiazdy jest zapłata
Tam nagrodzi Bóg potężny.

Człowiek Bogu nienagrodzi:
Niechay Boga naśladuje,
Biednym nędzę niechay słodzi
Z smutnym niechay się raduje.
Gniew i zemsta niechay znika
Niech się dłonie wiążą bratnie,
I na łono przeciwnika
Wysączą się łzy ostatnie.

Chór

Księga długów w jedney chwili
Niechay zyska przebaczenie!
Bracia gdzie to gwiazd sklepienie,
Sądzi Bóg jak my sądzili.

Radość iskrzy się w puharze,
W winie rozpacz topi żale,
Topią srogość w Bacha czarze
Piją dobroć Kannibale

Rzućmy bracia te siedliska
Niechay krąży kielich złoty,
Niech pod niebo piana pryska:
Przyym ofiarę bostwo cnoty.

Chór

Ty którego Seraf pieniem
Gwiazdy swemi czczą obroty,
Przyymiy hołd o bóstwo cnoty!
Nad gwiazdzistém przyym sklepieniem.

Męztwa doday nam w cierpieniach,
W złéy niewinność wesprzéy doli,
Day niech stali w przyrzeczeniach,
Wolni będziem wśród niewoli.
Day nam umysł męzki, stały,
Niech nam świeci prawd pochodnia,
Niech zasługa wieniec chwały,
Wieczną niech ma hańbę zbrodnia.

Chór.

Niech się zamknie koło święte,
Niechay na tę pełną czarę
Zaprzysięgą wieczną wiarę
W imię Boga niepojęte.

Jarzmo dzikiéy skrusz przemocy,
Skłoń niecnotę do poprawy!
Ciesz w ostatniéy długiéy nocy,
Sądząc, wyrok day łaskawy!
I umarli niechay żyją
Niech się radość śmieje wszędzie,
Niech łzy żalu grzechy zmyją,
I niech piekła już nie będzie

Chór.

Szczęsne z życiem day rozstanie!
Słodki sen w grobowym mroku,
Miarą twojego wyroku,
Niech twa litość będzie Panie.

Marzenia

(Die Ideale.)

Przekładu Kantonb. Tymowskiego.

Jużże się rozstajesz ze mną,
Życia mego czasie złoty!
Drużynę marzeń przyjemną,
Lube rozkosze, pieszczoty,
Rączemi porywasz pióry!
Próżno twego pragnę zwrotu,
Piorun ci pożyczył lotu,
W wieczności zdążasz przestwory.

Pogodne słońca zamierzchły,
Co ranną zdobiły porę;
Myślne twory się rozpierzchły,
Już niemi serce nie gore.
Snu mojego lube płody!
Słodka o was wiara znika
Rzeczywistość niszczy dzika,
Co tak pięknem było wprzody.

Jak wśród pragnących obramień
Pigmalion błagał kamień,

Aż zimna posągu bryła,
Czuciem się zarumieniła;
Tak ledwie naturę tkliwem
Objąłem dłoni ogniwem,
Na młodzieńczem wieszcza łonie,
Oddycha, i życiem płonie.

Moim ogniem rozgorzała,
Niema, już przemawiać umie,
Dźwięk serca mego rozumie,
Uściśnienie mi oddała.
Już ożyły kwiaty, drzewa,
Zdroju srebrny płyn mi śpiewa,
I to gdzie duszy nie było,
Życia mego echem żyło.

Wszechmocnego wir natchnienia,
Ściešniona pierś rozprzestrzenia,
Wytryska życiem, poczęła
Dźwięki, obrazy i dzieła.

Jakąż świat ten miał wspaniałość
Póki go pączki chowały;
Gdzie się rozwinął, jak mały,
I jak nikczemną ta małość!!
Męztwem uskrzydlony śmiałem,
Szczęśliwy marzeń zapałem

Młodzian troską nieskiełzany
Rzuca się w zycia bałwany.
Nieścigniony lot zamiarów,
Wzbija go do krain czarów;
O szczycie nie wie i kresie,
Wszędzie go ich skrzydło niesie.

Szczęsny łatwo tam dosięga:
Jakaż go wstrzyma potęga?
Powietrzny orszak wesołem
Wóz życia otacza kołem.

Miłość co rozkoszą płaci,
Chwała co wawrzynem darzy,
W złotéy szczęśliwość postaci,
Prawda o słonecznéy twarzy.

Przebóg! towarzysze mili
W śrzodku drogi odstąpili;
I zdradzieckim dążąc krokiem
Koleją pierzchli przed okiem.
Zbiegło szczęście lekko-nogie,
Z niczem przyszli umu gońce *)
A wątpliwość chmury mnogie
Na prawdy rzuciła słońce.

---

*) Um wyraz piérwotny, od którego pochodzą rozum, umiętność it. d. tutay użyty na oddanie słowa das Wissen w oryginale znaydującego się.

Wawrzyn co dla chwały rośnie,
Zwiądł na pospolitém czele;
Zbyt prędko po krótkiéy wiośnie
Uszło miłości wesele.
Odludnieysza coraz cisza,
Coraz brakło towarzysza.
Brzask tylko nadziei blady,
Sciemniałe rozwidniał ślady.

Z téy liczney i szumnéy rzeszy,
Któż towarzyszył wytrwale,
Kto ciężkie łagodził żale
Kto grób umaić pospieszy?
Ty! co życia dzielisz zmiany,
Przyjaźni! co leczysz rany,
Co pociech siejesz nasiona,
W czas szukana, znaleziona.
I ty któréy pomoc równa
Gdy duszę przeciwność chmurzy;
Praco! któréy dłoń starowna,
Tworzy zwolna, lecz nie burzy.
Ty! co do wieczności rzeki,
Dosączasz tylko kropelki:
A jednak dług czasu wielki,
Zmnieyszasz o chwile i wieki.

Kassandra.

Przekładu Kazm: Brodzinskiego.

Radość była w Ilionie,
Nim miasto padło w ruinie,
Lutni głosy mącą dłonie,
Gwar hymnów w powietrzu słynie
Wszystkie wolne spoczywały
Po krwawych bojach prawice,
Gdy Peleja syn wspaniały
Pryama ślubił dziewice.

Wawrzynami zdobiąc czoła
Lud tłumem ciśnie się, w gwarze,
Idą wszyscy do kościoła
Tymbryyskie święcić ołtarze.
Wszędzie okrzyk radość wzrusza,
Brzmią pieśni bachanckie grona;
Ale tylko jedna dusza
Boleści jest zostawiona.

Smutna gdy się wszystko cieszy,
Kassandra sama zostaje,
Opuszczona skrycie śpieszy
W cieniste Apolla gaje.

A w naygłębszą lasu stronę
Ze swemi chroniąc się łzami,
Swiętą z oczu drze zasłonę,
Porzuca, depta nogami.

„Każde serce szczęściem pała,
I wszystko żyje radośnie,
Siostra moja się przybrała,
Rodzicom nadzieja rośnie:
A mnie stroni omamienie,
Ja tylko łzami się poję
Bo ja widzę jak zniszczenie
Już leci na naszą Troję."

„Ach! pochodnie ogień nieci,
Nie Hymen jednak go żarzy,
Ku obłokom płomień leci,
Lecz nie z ofiarnych ołtarzy.
Uroczystość zgotowana,
Lecz tylko ja przenikliwa;
Już krok słyszę niebios Pana
Co uczty smutnie pozrywa."

„A mnie łają, że łzy ronię
I szydzą moje wołania,

W niedostępne puszcz ustronie
Nieść muszę skargi i łkania.
Wesoły się zemnie śmieje,
Szczęśliwy znieść mię nie może —
Trudne dałeś mi koleje
Okrutny pytyyski Boże!"

„Poco było mnie niewieście
Objawiać prawdy twe święte,
W tem na wieki ciemnem mieście
Gdzie wszystkich zmysły zamknięte?
Czemu widzę nieskończenie
To czego nie zwrócę wiecznie —
Stać się musi przeznaczenie,
Złe musi przybyć koniecznie."

„Możeż zedrzeć to pokrycie,
Gdzie smutne wyroki straszą?
Omamienie — to jest życie —
Wiadomość śmiercią jest naszą, —
Zdeym tę jasność z myśli moiey,
Co krwawo serce przenika.
Bydź naczyniem prawdy twojey
Za wiele dla śmiertelnika."

„Błędne zmysłów wróć rozkosze
I odday dawne ciemnoty,

Odkąd twoje prawdy głoszę
Straciłam wszystkie ochoty.
Mnie przyszłości dajesz bycie,
Lecz wziąłeś moment szczęśliwy,
Lecz mi wziąłeś chwil użycie,
Ach odbierz dar twóy zwodliwy."

„Odtąd jak kapłanki dłonią.
Czczę twoje ołtarze wieszcze,
Nigdy nie trefiłam wonią
Nie splotłam włosów mych jeszcze.
Przepłakałam wiek móy młody,
Sam smutek strawił me siły,
Przewidziane bliźnich szkody
Naypierwey we mnie godziły."

„Widzę grona szczęsney młodzi.
I wszystko kocha, swewoli,
W wieku gdzie się użyć godzi
Nic nie znam oprócz niedoli.
Mnie daremnie kwitną wiosny
Nic moje nie widzi oko.
Któż na ziemi jest radosny
Gdy w życie wgląda głęboko?"

„Szczęsna Polixena płocha
Co w lubym łudzona błędzie,

Naylepszego z Greków kocha
I sądzi że z nim żyć będzie;
Nie posiada się z radości
Układów tysiąc ma w głowie,
I wam we śnie nie zazdrości
Wam nawet wielcy Bogowie!"

„I jam tego już poznała
Co serce tęskniąc go żąda,
Oko jego ogniem pała,
Wzajemnych ogni ogląda.
Iabym w ślubne z nim okowy
Pod skromne poszła poddasze,
Ale staje duch styxowy
I dłonie rozrywa nasze."

„Do mnie wszystkie larwy blade
Z swych piekieł Hekate żenie
Czyli chodzę, czy się kładę,
Stawają przedemną cienie.
Nawet pomiędzy młodzieżą,
W swobodnéy chwili uciechy,
Stają, srogie wycia szerzą —
Nie znaydę nigdzie pociechy!"

„Błyszczą stale pokrwawione,
I tyran gniewem już płonie,

Ach nieszczęsna! w którą stronę
Przed straszną trwogą się schronię?
Nic nie mogę ukryć oku;
Wiem, widzę co mię nie minie,
Muszę spełnić los wyroku
I upaść w obcey krainie."

Gdy tak jeszcze skargi czyni,
Głos nagle słychać potężny
Od dalekich bram świątyni:
Nie żyje Achilles mężny!
Erys trzęsie węże swoje!
Bogowie uciekli sami,
I na całą wielką Troję
Obwisły chmury z grzmotami.

Godność Niewiast.

przekładu I. D. M.

Czcicie niewiasty! dłonią niewiast bogi
Niebieskie róże wiją w życia głogi,
Węzeł miłości wiją wam złoty,
Na ich to łonie wstyd osiada czysty,
A piersi żywią ogień wiekuisty
Ten święty ogień nadobney cnoty.

Ręką prawdy zakreślone
Mąż zuchwały szranki zwala;
Szarpie myśli rozpierzchnione
Namiętności szumna fala.
Swiat nie dosyć mu szeroki,
Nie ugasi nic pragnienia;
Gotów piąć się pod obłoki,
Senne ścigać w nich marzenia.

Ale spoyrzenia czarującą władzą
Niewiasty zbiega do domu prowadzą,
Prowadzą ścieszką przybraną w róże.
One rodzinne polubiły progi,
W nich uchowały cnotę, pokóy drogi,
Wierne zostały wierney naturze.

Niszczyć dziełem męża dłoni,
Stopa rzuca ślad zniszczenia,
Dziki własne życie goni,
Bez spoczynku, bez wytchnienia;
Walczy z sobą w wieczney walce,
Razem stwarza, gubi razem,
Tak strącony łeb padalce
Wiecznie wznoszą pod żelazem.

Ale zbyt głośney sławy nie tak chciwa,
Kwiaty niewiasta prędkiey chwili zrywa;
Zrywa skwapliwie bo kwiat się mieni;

W szczupłym zawodzie ale wolniey działa,
Bogatsza w cnoty bo w cnocie wytrwała,
Bo się nie gubi w marzeń przestrzeni.

Mąż swych żalów nie wyleje,
Własną ręką rany sciska,
Miłość piersi nie zagrzeje,
Serce serca niepozyska;
Nie popłyną mu też zdroje,
Nie wie jak się dzielić duszą,
Nawet krwawe życia boje
Głuche czucie bardziey głuszą.

Ale jak lekko zefirem wzruszona
W eolskiey harfie słabiuchna drży strona,
Takoż i dusza niewiasty tkliwa;
Żalem sciśniona na widok cierpienia,
Pierś wespół cierpi, cięższe toczy tchnienia,
Oko niebieska rosa zaléwa.

Przemoc słabym nieużyta
Mężom dała oręż srogi,
Mieczem praw dowodzi Scyta,
Sciele mu się Pers pod nogi;
Wre namiętność w sercu dzika,
Rdza jey trawi pokóy duszy,
Oniemiała Charys znika,
Jędza ją niezgody głuszy.

Ale niewiasta prośbą przekonywa;
Cnota jey bronią, berłem dobroć tkliwa.
Ona zawziętych koi żal głuchy,
Ręka jey zbliża nienawistne siły;
A zamach zemsty w uścisk mieniąc miły
Niesforność kuje w zgody łańcuchy.

Szczęście i Mądrość.

przekł: E. W. Kainki.

Raz poróżniona z pewnym faworytem,
Przyszła fortuna w mądrości podwoje;
„Okryję ciebie szczęściem znakomitem,
Lecz day mi, rzekła, wierne serce twoje."

„Na niewdzięcznika zlałam moje dary,
Bom go kochała jako matka tkliwa:
Patrz, oto zawsze nowe chce ofiary,
I jeszcze nad to skąpą mię nazywa."

„Póydź siostro! przyjaźń wzajemną zawrzemy,
Odtąd niebędziesz umartwień ponosić,
Żyć będziem słodko z dostatki naszemi,
Tu i dla ciebie i dla mnie jest dosyć.

A mądrość czoło znojone ociéra,
I rzecze wdzięcznie: łaska twa pochlebna —
Patrz twóy kochanek w rozpaczy umiera,
Zgódzcie się z sobą, tyś mi niepotrzebna.

Do Moralisty.

przekładu E. W. Kainki.

Czegóż się gniéwasz na zabawy młodzi,
I ganisz miłość zowiąc ją zgorszeniem?
Ciebie okrzepłość lodowata chłodzi,
A ty pogardzasz ciepłém wiosny tchnieniem!

Niegdyś w miłosnych upałach szalony,
Wesołych zabaw piérwszym wodzem byłeś,
Nieba ściskałeś twojemi ramiony,
Gdy nektar bogów z ust dziéwczęcia piłeś.

Ha Seladonie! gdyby w tenczas z osi
Ziemia runęła wsrzód mocnego grzmotu;
Spojony z usty twéy nadobnéy Zosi,
Nie byłbyś pewnie słyszał jéy łoskotu.

Wspomniy na przeszłość, na twe dnie rożane,
I ucz się poznać co cię dzisiay nudzi;

Inaczéy biją pulsa młodociane,
Na bogów nigdy nie przerobisz ludzi!

Błogo! gdy żywość ogniem rozpalona;
Podbija chucie pod rozumu straże;
Nie zna żądz dusza z ciałem rozdzielona,
Lecz człowiek rzadko tych cudów dokaże.

Cóż mogę za to, że się tak począłem?
Ciało w więzieniu trzyma boską duszę!
To mi zabrania bym został aniołem,
Idę więc za niem, gdy człekiem bydź muszę.



Wiérsze
i
Spiéwy
z rozmaitych oyczystych
Autorów
zebrane.



HYMN
Na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego.
przez Aloiz: Felińskiego.

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
I tarczą swojey zasłaniał opieki
Od nieszczęść które przywalić ją miały,
Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Naszego Króla zachoway nam Panie!

Ty coś ją potém, tknięty jey upadkiem,
Wspiérał walczącą za nayświętszą sprawę,
I chcąc świat cały mieć jey męztwa swiadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jey sławę
Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Naszego Króla zachoway nam Panie!

Ty coś nakoniec nowemi ją cudy,
Wskrzesił, i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy,
Pod jedno berło Anioła pokoju.

Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Naszego Króla zachoway nam Panie.

Wróć nowey Polszcze świetność starożytną
I spraw niech pod nim szczęśliwą zostanie,
Niech sprzyjaźnione dwa narody kwitną
I błogosławią jego panowanie.
Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Naszego Króla zachoway nam Panie.

Katakomby.

Epizod z pieśni IV. poematu Delilla o imaginacyi.

przez W. N.

Pod Rzymu posadami, są głuche i ciemne,
Niezmierney rozległości jaskinie podziemne;
Tysiące lat kowany, ten otwór głęboki
Rzymianom na ich gmachy wydał swe opoki:
I z łona tych przepaści ów przepych wspaniały,
Wiekopomne zabytki i Rzym powstał cały.
Poźniey, zdala tyranów i uciemiężenia
Kościół swe pierwsze dzieci ukrył w te sklepienia,
Nim ztąd wyszedł z tryumfem, aby światem władał,
I chorągwiom Cezarów swoje krzyże nadał.

Pewny młodzian, cnych kunsztów miłośnik ciekawy, *)
Piękną zajęty żądzą nauki i sławy,
Przyszły zaszczyt malarstwa, rodziców kochanie,
Powziął chęć niebespieczną zwiedzić te otchłanie,
Zacną kolebkę naszéy starodawnéy wiary.
Z kłębkiem nici i świecą wchodzi w te pieczary
I czarne jéy ulice przebiegać zaczyna,
Których tysiąc w różnych ją kierunkach przerzyna.
Miłe go mieysc wspaniałość posępna zachwyca
I ten przybytek nocy, ta smutna stolica,
Te świątynie gdzie Chrystus piérwszych widział wiernych,
I te wieczyste cienie grobowców niezmiernych:
W jednym zamierzchłym kącie przeraźliwych ciemnic,
Widzi ustęp okryty zasłoną tajemnic;
Tam naczynia pobożne i urny odkrywa;
W których popiół czcigodnych męczeńców spoczywa;
Bierze ten skarb; chce odeyśdź. O żału głęboki!
Nić upuścił, co jego prowadziła kroki.
Szuka; lecz nadaremnie: trwoży się, i miesza,
Idzie, wraca, znów idzie, znowu krok zawiesza:
Chwyta się każdey ścieszki wiedziony od trwogi,
A z błędu w błąd przechodząc i z drogi do drogi,

*) Przypadek który tu opisuje poeta, zdarzył się w istocie Panu Robert, sławnemu artyście a natenczas uczniowi akademii francuskiey w Rzymie.

W końcu na wielką przestrzeń wchodzi pełen zgrozy;
Straszny błędnik! zkąd setne prowadzą wąwozy
Z tylu dróg, którąż póydzie? którą się zapuści?
I któraż go z nieszczęsnych wywiedzie czeluści?
Wszystkich doświadcza, wszędzie bieży, rozpoznaje,
Strach mu krępuje nogi, strach im rączość daje;
Woła; bałuch okropny szerzy się po lochu,
Cisną się czarne myśli, potomstwo popłochu.
Już słońce czas dziesiątey mierzyło godzinie,
Jak błądził po bezdrożach podziemney pustynie;
W mieyscu milczenia, zgrozy, które co pół wieka
Zaledwie że raz jeden ogląda człowieka.
Na tém większe nieszczęście, postrzega że właśnie
Drobny szczątek pochodni w jego ręce gaśnie;
Bojąc się by krok każdy któryby postawił
Ognia przewodniczego podniety nie trawił,
Zatrzymuje się czasem, stoi niewzruszony.
Nadaremna ostrożność i zabieg stracony!
Nadchodzi straszna chwila, zda mu się, że czuje
Jak już ponura ciemność do koła panuje:
Idzie, tuła się jeszcze w niezmierney głębinie,
W tém konające światło dymi się i ginie.
Jęczy, wnet ożywiona silném odetchnieniem
Zajaśniała pochodnia wybawczym płomieniem.
O nadziejo zawodna! Już kipi wosk wrzący,
Opuszcza się powoli na knot gorejący,

I na zbolałe palce leje się bez przerwy,
Zwyciężone, spreżystość utracają nerwy:
Pada fatalna świéca z otrętwiałéy dłoni,
I ostatni swóy promyk na gròb jego roni.
O ty! coś nam wystawił Ugolina męke!
Przybądź, straszliwy Dancie, prowadź moję rękę;
Użycz pędzla i malwy w tych Dedalach nowych,
W pośrzód ponuréy nocy ciemności grobowych,
Nieszczęsnego, co wieki odmierza chwilami – –
Sam jeden... ach! nieszczęśni nie są długo sami.
Wyobraźnia, zamożna w straszydła żałobne
Zaludnia ich samotność. Te jamy osobne
Już pełne, już w nich blade snują się widziadła:
Rozpacz, spiekłe szaleństwo i wściekłość zajadła,
Smierć... nie ta śmierć zaszczytna, którey szuka męztwo,
Która z piorunem lata i wieńczy zwycięztwo;
Lecz wolna i straszliwa, ciągnąca przy sobie
Głód, co własne wnętrzności rwie w wściekłym sposobie.
Krew mu się na te myśli skrzepła w żyłach ścina:
Jakaż jeszcze dotkliwsza dręczy go przyczyna?
Rodzice, przyjaciele i krewni w rozpaczy!
Prace których nie skończy, których nie zobaczy!
W których świetną puściznę miał wiekom zostawić,
Co go uszczęśliwiały, co go miały sławić!
I ta, którey kochanie, którey uśmiech miły,
Naysłodszą mu pochwałą i nagrodą były!

Ten obraz do tez kilku nieszczęsnego wzrusza,
Zal je ciężki wyciska a wściekłość osusza.
Ufa jëdnak, zda mu się, w pośrzód głuchéy ciszy
Ze jakieś widzi światło, że głos jakiś słyszy.
Patrzy — słucha. Niestety! wszędzie czarne cienie,
Wszędzie noc nieprzenikła i głuche milczenie.
W tenczas całą okropność poznawszy swéy doli,
Złem przeczuciom tłumnego przystępu dozwoli,
I znękany swóy umysł rozpaczy podaje.
Wstaje, pada struchlały i znowu powstaje;
Czasem niepewną stopą depce kość człowieka,
Straszne pomniki śmierci, przed którą ucieka.
Gdy nagle poczuł u nóg lekkie zachaczenie:
Sięga rękę skwapliwie. O cud! o zdziwienie!
Czuje, poznaje nici, ktore był postradał;
Wsrzód radości, nadziei, dreszcz nań zimny padał.
Całuje, czci ten wątek, co go ma obronić,
Sciska w ręku żeby go znowu nie wyronić;
Chce iśdź za nim, gdzie jasność, gdzie go słońce wzywa;
Lecz go jakaś ukryta władza zatrzymywa.
Bezpieczny, użyć jeszcze chce w podziemnym gmachu
Okropnego pobytu i swego przestrachu;
Straszny widok przyjemnie serce jego drażni,
Czuje rozkosz zachwianą ostatkiem bojaźni
Nakoniec trzymając się przewodniey osnowy
Nie bieży, leci prawie blask oglądać dniowy.

Bogi! z jakąż radością widzi znowu nieba,
Których myślał że wyrzec na zawsze się trzeba!
Z jakiém uczuciem, w jakiém słodkiém uniesieniu
Wzrok po tak okazałém prowadzi sklepieniu!
Miasto, wsi okoliczne, murawy i gaje,
Wszystko mu się objawiać po raz pierwszy zdaje!
I w swojém zachwyceniu, przeszłości nie pomny,
Rozumié, że stworzeniu świata jest przytomny.

O Doświadczeniu
do Marcina Molskiego
przez Antoni: Goreckiego.

Dotąd Marcinie świat w omamieniu,
Że rozum w książkach nie w doświadczeniu,
I jaki taki dopadłszy pory,
Drabuje pilnie mądre autory.
Ale Marcinie ty sam wiesz przecie:
Inaczéy w książkach, inaczey na świecie. –
Wszakże na pamięć świętych żywoty
Umiész i idziesz przykładem ich cnoty
I przed pokusą dla zbawienia duszy
Zamykasz wcześnie i oczy i uszy;
A jednak wyznay, na co to zda się
Kiedy przypadkiem spoyrzysz na Kasię?

Ach próżno, próżno przed żądzy tłumem,
Bronić się, wziętym z książek rozumem,
Choćbyś zasypiał w ręku z Salomonem,
Gdy nie doświadczysz nie będziesz uczonym. –
Z tém się, nieszczęściem każdy człowiek rodzi,
Że nas nieuczą, cudze doświadczenia;
A własne w tenczas nayczęściey przychodzi
Kiedy nie mamy już nic do stracenia. –
I gdzież jest mądrość? wszyscyśmy tu ciemni,
Wszyscyśmy ludzie słabi i nikczemni,
A każdy jednak ma tę w sobie wadę
Że chce drugiemu dawać świątła radę;
Każdy się, lepszym od innych rozumié
I uczy często, czego sam nie umié.
Tak po raz piérwszy, gdy na słone wody,
Z przyjaźnym wiatrem płynie sternik młody,
Starzy go uczą, gdy się fale wzmogą
Jaką, z okrętem kierować się drogą
Jak skały mijać; tak, że ów zuchwały
Pyszny nauką wygląda nawały;
Lecz gdy ta przyydzie, a szturm bije nagle,
Próżno uczenie nastawuje żagle,
Wiatry mocnieysze, póki mają siły,
Będą po całém morzu go nosiły;
On jednak drugich gdy u brzegu stanie,
Uczy, jak na tym pływać Oceanie.

Chciałbym żeby ci wszysci autorowie
Co to i w wolnéy i w wiązanéy mowie,
Dla szczęścia przyszłych pokoleń pisali,
Dziś jakim cudem z grobów zmartwychwstali.
Solon tak sławny mądrych praw ustawą,
Niechby dziś do Trok przyszedł z jaką sprawą;
Maron co siedząc w swéy wiosce pod Rzymem,
Szczęśliwość wieyską głosił boskim rymem,
W téy cichéy schroni nauki i Muzów,
Niechby doczekał odwiedzin francuzów.
Górny Horacy ozdoba Parnasu,
Co wierz na złoto mieniał swego czasu,
Niechby dziś żyjąc poetyckim płodem,
Swiecił łokciami i karmił się głodem.
Słodki Orfeusz co wmawiał rycerzom,
Że jest naymiléy umrzeć pod puklerzem
Niechby dziś wdziękiem swojéy liry, z boru
Do rekruckiego zwabił młodź naboru. — —
Cycero wielki, co wymowy mocą,
Bronił niewinnych przed możnych przemocą,
Niechby dziś skruszył umysły sądowe,
Gdy brzęknie złoto ważne obrączkowe.
Sokrat co prawił zawsze zdaniem swojem,
Że cnota darzy szczęściem i pokojem,
Że o nią nayprzód bogów prosić trzeba,
Niechby dziś z cnotą poszedł żebrać chleba.

Mędrzec lubieżną nauką wsławiony *)
Co wszystkim uczniom kazał szukać żony,
Co rozkosz w świecie nad wszystko ocenił,
Niechby za naszych czasów się ożenił. --
I ów co uczył jak siedząc na słońcu **)
Beczkę za cały posiadać dostatek,
Niechayby z nami dziś przy Marca końcu,
Przedał ostatnią beczkę na podatek. --
Iedenby Likurg, co dla młodzi wprawy,
Chronił złodziejów przez śmieszne ustawy. ***)
Dziśby się cieszył takiem zmartwychwstaniem,
Boby się strudził swych uczniów witaniem.

---

*) Epikur.

* *) Dyogenes.

* * *) Likurg prawodawca Sparty chcąc w młodzieży upowszechnić czuyność w woiennym stanie potrzebną, postanowił, że popełnienie kradzieży niepostrzeżone, karanem nie będzie.

Śpiewy historyczne.

Jul. Ursyna Niemcewicza.

Piast.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu,
Karzącey zbrodnie doświadczał prawicy;
Naród chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruświcy.
Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne,
Obijały się o jezioro czyste.

Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody,
Na głośnych sporach czas upływał drogi;
Głód się czuć dawał, a obce narody,
Szerzyły w Polszce najazdy i trwogi.
Ale Bóg dobry spoyrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
W pośrzód Kruświcy spokoynych wieśniaków,
Był Piast co Bogów i ludzi miłował.

Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;

Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.
Znaną sąsiadom była na około
I dobroć jego i gościnna hoyność;
Znaydował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokoyność.

Dzień nadszedł świetny dla skromney drużyny,
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.
Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem;
Stół zastawiają tłustemi mięsiwy
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjacioł zaczęły się gody,
Pierwszemi dary iuż uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców przecudney urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.
Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by mieysca chcieli zasiąść swoje:
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym,
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:

„Piast luby bogom, po cóż czekać więcéy,
„Niech będzie królem i włada nad nami."
Większéy, mąż rzecze, potrzeba mądrości,
By państwem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwéy mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli.

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem,
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.
Postać ich niebian mieszkańców wskazuje
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: „Pan co mieszka w Niebie,
„Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
„Aniołów swoich przysyła do ciebie
„Z rozkazem, żebyś wziął Polską koronę.
„Szanuy z pokorą jego świętą wolę,
„Wielkie on Polszce zakreśla zawody,
„Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
„Da wam zwycięztwa, chwałę i swobody.

„Z plemienia twego dzielni wojownicy
„Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,

„Na wschód i zachód kres państwa granicy
„Naznaczą w rzekach żelaznemi słupy.
„Przez dziewięć wieków ród wasz istnąć będzie,
„A po was inni tron Piastów osiędą,
„Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rzędzie,
„I one xiążęta hołdować jey będą.

„Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
„Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
„Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
„I kray ten obce rozszarpią narody.
„Dnia ostatniego głos trąby straszliwy,
„Zagrzmi już dla was w pośród gromów bicia,
„Gdy Bóg wszechmocny zawsze litościwy
„W oziębłych zwłokach wskrzesi iskrę życia."

Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piast zdziwiony pozostał samotnym;
Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jak woń fiiołków po deszczu wilgotnym.
Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzenki brzaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi
Wita go Panem z radosnym oklaskiem
I na królewskie kommaty prowadzi.

Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Swietną koroną uwieńczył swe skronie,

A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swóy postawić przy tronie.
Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować,
Gdy wy i same nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chcieyciež rolnictwo szanować,
W mieczu i pługu są Polaków siły.

Bolesław Chrobry.

Ten co naypiérwszy uyrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,
Syt lat i chwały już Mieczysław stary
Legł w Piastów grobie.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, alić Czech zdradliwy
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy,
W głuche pustynie.

Jak lew zraniony skrwawioną źrzenicę
Tocząc rzuca się na źwiérzę zuchwałe,

Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę,
I państwo całe.

W dzielnym zawodzie chciwy dalszéy sławy,
Kiedy ukarał tego co przewinił,
Miśnią, Łuzatów i żyzne Morawy,
Swemi uczynił.

W tenczas Jarosław Ruś żyzną wydziéra,
Już gnębi Kijów okrutna przewaga,
Wygnan Swatopełk u nóg bohatéra
Pomocy błaga.

Bolesław równie mężny jak wspaniały,
Zbiéra rycerstwo i w szyki wprawuje,
Już się nad woyskiem wznosząc orzeł biały
Drogę wskazuje.

Pędzi pytając gdzie nieprzyjaciele?
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.

Szabla Polaków tylekroć doznana,
Na hardych karkach przeważnie ciężyła,

Poległy krocie, rzeka krwią wezbrana,
Brzegi zbroczyła.

Już obległ Kijów, już baszty szerokie
Tłucze taranem z kusz opoki ciska;
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.

Wchodzi bohatér w rozstąpione mury
Wśród radosnego w około żołnierza;
A miecz zwycięzki podnosząc do góry
W bramę uderza.

Na pamięć gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Dnieprze i Ossie i w Sali
Żelazne słupy.

Spoczął, a sławny dzieły tak świetnemi,
Przyjmując w Gnieznie Ottona cesarza;
Dziwi przepychem, i skarby drogiemi
Hoynie obdarza.

Był to Król dobry, w boju tylko srogi,
Był sprawiedliwy i karał swywole,

Pod nim bespiecznie i kmiotek ubogi,
Orał swe pole.

Nie dziw, że kiedy poległ w ojców grobie,
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,
Nieutulony i w ciężkiey żałobie
Płakał lud cały.

Kazimiérz Mnich. *)

Dobrze się Polszce za Chrobrego działo!
Ziścił on kraju nadzieje,
Drżał sąsiad a kmieć orał pole śmiało,
Na dworze dziarskie turnieje.

Gnuśny Mieczysław wszystko po nim zgubił,
Bo gdy nie raz szumnym miodem
Z pochlebcy swemi zagrzewać się lubił
Ryxa władała narodem.

Zniechętnéy do nas przywiedziona ziemi
Nienawidziła Polaków,
Nas obarczała zdzierstwy okrutnemi,
Łaskami obcych dworaków.

*) Że Kazimierz był mnichem, zbijają mocnemi dowodami Narus: i Bandt.

A gdy mąż gnuśny powieki zawiéra,
Gdy lud swe skargi rozszerza,
Rzuca kray, skarby niezmierne zabiéra,
I młodego Kazimierza.

Na ten czas Polskę, bez rządu i zgody,
Trapiły ciosy skupione,
Mieczem Chrobrego podbite narody,
Wyrwały zemsty tajone.

Ruś kruszy jarzmo i hołdu się zbrania,
Tu Czech najeżdża granice,
Słychać płacz ludu, ciężkie narzekania,
Goreją pańskie świątnice.

Gniezno siedlisko możnych niegdyś panów,
I w nim przybytek bogaty,
Złupił Bretysław, wypędził kapłanów,
Wziął drogie skarby i szaty.

Tylu klęskami chrześcian i pohańców,
Rady państwa poruszone,
Do Kazimierza wysłały posłańców
By wrócił i wziął koronę.

W dalekim kraju, w zapadłym klasztorze,
Znaleźli króla zamkniętym,
Z schyloną głową i w prostym ubiorze
Klęczał przed ołtarzem świętym.

Tu rada przed nim opowiedać jęła
Jaki cios Polskę ugodził,
Zapłakał Xiążę, w oczach mu stanęła
Luba ziemia gdzie się rodził.

Przez Rzym od świętych ślubów uwolniony,
Tknięty niedolą oyczyzny,
Wraca Polaków hufcem otoczony,
Goić ciężkie kraju blizny.

Kiedy się poczet zbliżał do stolicy,
Zaszedł drogę senat wierny,
Kapłani, wdowy, państwa urzędnicy,
I pospólstwa tłum niezmierny.

A witayże nam hospodynie drogi!*)
Odgłos się szerzył weselny;
„Ty nam dziś w radość zamieniasz dni trwogi,
„Ty Chrobrego wnuku dzielny!

*) Te właśnie słowa przytacza Bielski. Hospodyn znaczy to samo co Gospodarzu lub Panie.

„Długąś tę smętną osierocał ziemię,
„Czas jest nieszczęściom zabiegać,
„Nie ścierp by miało dzielne Lecha plemię,
„Obcym najazdom ulegać."

Co naród życzył Kazimierz uiścił,
Błędy nierządu poprawił,
Z Niemców, Rusinów granice oczyścił,
I kray kwitnącym zostawił.

Bolesław Smiały

W żelazney zbroi i złotey koronie,
Otoczon hufcem wojownikow zbroynym,
Bolesław śmiały zasiada na tronie,
Gdy Kanclerz głosem zawołał potroynym;
Trzech krewnych xiążąt wygnańców z daleka,
Od ciebie panie wsparcia swego czeka.

Wchodzą, Izasław xiążę na Kijowie,
Z nim Węgrów, Czechów młodzi królewice,
Bela, Jaromir, ci w krótkiey osnowie
Mówią, ze łzami: „Trzech tronów dziedzice
„Błagamyć królu, niech nas broń twa wspiera,
„I wróci berła, co przemoc wydziera.

Bolesław na to: gdy niewinność wzywa,
Prawdziwy rycerz bieży w zawód chlubny,
Rzekł, i za szczerbiec Chrobrego porywa,
Przysięgam na ten oręż mężogubny,
Że go nie złożę aż dumę ukrócę,
I wzięte państwa skrzywdzonym powrócę.

Co przyrzekł, spełnił. Czechy i Morawy
Zbiwszy orężem obdarza pokojem;
Już Jaromira odbiéra dzierzawy,
Nad Cissą Węgrów wstępnym znosi bojem,
Niemce w posiłek ściągnione rozprasza
I Belę królem Węgierskim ogłasza.

Młodemu Xięciu wkładając koronę,
Węgry, zawołał: te kraje zdobyte,
Mogłem zatrzymać za trudy łożone,
Lecz wolę oddać komu należyte;
Niechay lud mężny i bliski naszemu,
Sam włada, nigdy nie służy obcemu.

Już Kijów bierze, wraca Izasława;
Ale w rozkoszach bogatéy stolicy,
Zniknęła z oczu waleczność i sława
Zgnuśniał król, z królem dzielni wojownicy,

Już nie turnieje i gonitw zakłady,
Lecz uczty, zbytek i huczne biesiady.

Powrót do Polski nie kładzie granicy
Rozwiązłey chuci, co wszystko znieważa,
Biskup Stanisław wśród pańskiey świątnicy
Wyrzuca błędy i klątwą zagraża;
Bolesław śmiały ledwie gniew hamuje,
Tai urazę, lecz zemstę gotuje.

W krótce na Skałce, kiedy kapłan święty
Ofiary Bogu przed ołtarzem składa,
Z rozkazu króla huf dworzan zawzięty,
Z dobytą bronią do kościoła wpada,
Trzykroć się miota, lecz tajemna siła
Trzykroć zuchwalców na ziemię zwaliła.

Bolesław w gniewie nieznający miary,
Nieustraszony, zemsty dokonywa;
Lecz przebóg! skoro dopełnił ofiary,
Gniew zniknął, żałość serce mu przeszywa,
Ach! rzeknie: odtąd chcę świętemi czyny
Szukać w zwycięztwach przebaczenia winy.

Rzym znieważony cisnął gromy swoje
Na króla, na lud dotąd jemu wierny,

Przybytków pańskich zamknięte podwoje.
Wszędzie płacz, trwoga i smutek niezmierny:
Przed Watykanem schylając kolana,
Polak własnego wypierał się pana.

Ten król przed którym narody truchlały,
Dotknięty klątwą królestwo opuszcza,
Jest klasztor Ossa na pochyłku skały,
A czarna wkoło okrąża go puszcza;
Tam mąż nieszczęsny w wieku jeszcze sile,
Długą pokutą płaci gniewu chwile.

Tam dotąd kamień leży mchem okryty
Jodła mu cienia i chłodu dodawa;
Na głazie zbroyny mąż z koniem wyryty.
Polak czytając imię Bolesława,
Pomny na jego nieśmiertelne czyny,
Płacząc nad losem nie pamięta winy.

Bolesław Krzywousty.

Jeszcze Bolesław był małém dziécięciem,
Już czuł w sobie żądze sławy,
Bo gdy Sieciecha za Czechów wtargnięciem,
Król wysyła na Morawy,
Młodziuchny xiąże widząc szyki zbroyne,
Jął prośby swoje przekładać:

Niech i ja oycze, rzekł idę na woynę,
Niech się uczę szablą władać.

Rozrzewnion oyciec tą dziecka ochotą,
Hełmem okrywa mu skronie,
Daje mu tarcze, miecz i zbroje złotą,
I mówi: „w kraju obronie
„Użyi jedynie tych znamion rycerza,
„Niech służą chwale nie dumie,
„Chętnie lud temu berło swe powierza,
„Kto orężem władać umie."

Mały Bolesław radością wzruszony,
Wcześnie laury zaczął zrywać;
Cały walkom poświęcony
Służąc uczył się, jak ma rozkazywać
Wre w nim ochota gdy trąba bóy głosi,
Na przód się szyków wydziera,
Jeździ na czaty, głód i zimno znosi
I w trudach siły nabiera.

Młode swe lata zwycięztwami liczył
Ruś i Pomorzan zhołdował,
A gdy po oycu berło odziedziczył,
Henryk co w niemczech panował,

Pewien, że tłumem najętych orszaków
Zastraszy dzielnych Polaków,
Nieznając jak nam ochydna zniewaga,
Od Polski hołdu wymaga.

„Ja mam hołdować, Bolesław zawoła,
„Ja ścierpieć taką zniewagę!
„Nie zniży Polak przed obcemi czoła,
„Póki ma oręż, odwagę;
„Ach, stokroć w pośród krwawego zawodu,
„Koronę, życie utracę,
„Niżeli ścierpię niesławę narodu,
„I podły haracz zapłacę."

Blisko Wrocławia bóy się krwawy wszczyna,
Brzmią w powietrzu trąb odgłosy,
Uderza Xiążę, w pień Niemców wycina,
Poległy trupów ich stosy,
Tłum psów żarłocznych pokrwawione szczątki
Okropnie wyjąc rozrywa;
A lud to mieysce dla srogiey pamiątki,
Psiem polem dotąd nazywa. *)

*) Hundsfeld o mile od Wrocławia, teraz niewielkie miasteczko przy trakcie z Wrocławia do Kalisza.

Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym
Gdy syna trzyma u łona.
Co go zwano Leszkiem białym
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:
„Ty się śmiejesz dziecie lube!
„Bo nieznasz twojey niedoli,
„Nie znasz spisków na twą zgubę
„Oto z stryja twego woli
„Wydarłać państwo niecnota
„A jam wdowa ty sierota.
„Zrodzony byś berłem władał,
„Dziś przewrotnych ludzi winą
„Wszystkoś na świecie postradał,
„Tułasz się biedna dziecino!
„Ja cię przycisnę do łona,
„Lecz z kądże inna obrona?
„Powściągniy łzy twe królowo!
Zawołał Gaworek stary,
„Byłem oycu rada zdrową,
„Synowi dochowam wiary;

„Póki dłoń ta mieczem władnie
„Żadna nań trwoga nie padnie."
Pod czułym starca dozorem,
Wzrastał w siły Leszek Biały
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.
Gaworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
Oddal Gaworka, korona
Nazad ci będzie wrócona.
Królowa w modrzewim dworze,
W skromnéy siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze.
Nie miała złota na szacie;
Przy niey poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.
Gdy milczą, i Gaworek stary
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm Xiąże ludu ofiary,
„Panuy kiedy lud cię wzywa,
„Niech kray na tém nie szkoduje,
„Że mnie zawiść prześladuje.

„Ja stary, władzy nie chciwy
„Do skromnéy oyców zagrody,
„Wrócę, wygnaniec szczęśliwy,
„Ty długie uśmierz niezgody,
„A rządząc krajem potężnym,
„Bądź sprawiedliwym i mężnym.
„Jeźli za to żem pracował,
„Los mi usłyszyć zostawi,
„Że tego com ja wychował,
„Naród Polski błogosławi
„Nie umrę w cieniu méy strzechy
„Bez słodkiéy serca pociechy."
Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Xiążę odpowie w te słowa: –
„Leszek nigdy nie zapomni,
„Co winien sobie krajowi
„I co winien Gawotkowi.
„Niechcę by mąż co mnie wspiérał,
„Gdym się tułał opuszczony,
„Dla mnie wygnańcem umierał;
„Niechcę państwa ni korony!
„Nad blask co berło udziela,
„Wyżey cenię przyjaciela.
Nagrodziły nieba hoynie
Tę szlachetność, tyle męztwa,

Leszek zwycięzca na woynie,
Odzyskał wydarte Xięztwa,
Stary Gaworek przy zgonie,
Oglądał Leszka na tronie.

Władysław Łokietek.

Już noc swe smutne rozpostarła cienie,
Gwar tylko słychać wojennego ludu,
Tu owdzie ognisk rozdęte płomienie,
Przy nich w spoczynku z długich walek trudu,
Wsparci na tarczach wojownicy stali,
I o przypadkach bitwy rozmawiali.

Niekiedy xiężyc wychodząc z obłokow,
Okropnéy bitwy ukazywał ciosy,
W równinach Płowców i w głębi potoków,
Krzyżackich trupów niezliczone stosy,
Leżące konie, zabite rycerze,
I połamane hełmy i pancerze.

Łokietek szczupły, lecz wytrwały w bojach,
W dniu tym prowadził szyki natarczywe,
A chcąc na chwilę wypocząć po znojach,
Zdiął hełm i czoło ukazał sędziwe.
Skrwawione ręce obmył w zdroju czystym,
I tuż pod dębem usiadł rozłożystym.

A mierząc okiem smutne bojowisko,
„Patrz Kazimiérzu! zawołał na syna,
„Patrzay na wojen srogie widowisko,
„Stąd nieludności i pustyń przyczyna,
„Scięte w dniu jednym zaległo tę ziemię,
„Tysiąca matek nieszczęśliwych plemie:

„Przecież wieść boje było mym udziałem
„Zasłaniać wszędy tę krainę biedną,
„Po trzykroć z króla tułaczem zostałem,
„A chociem dzielnie państwa złączył w jedno,
„Choć siedmiudziesiąt lat wiek już domierza,
„Nie zdiąłem jeszcze twardego pancerza.

„Taki los Polski: tu Krzyżaków szyki,
„Tam Litwa niszczy i jęców zabiéra;
„Tu Ruś zdradliwa, tam Tatarzyn dziki,
„Po włościach naszych mordy rozpościéra:
„Z niechętnym dzisiay xiążęciem północy
„W powinowactwie szukaymy pomocy.

„Litewskim ludem władający xiążę,
„Stary Giedymin ma córę nadobną,
„Z tą, ślub twóy niechay dwa narody zwiąże.
„Ani skarbami ni szaty ozdobną

„Uyrzysz ją synu; przyniesie ci więcey:
„Poymanych więźniów trzydzieści tysięcy.

Skłania się xiąże i w krótce posłowie,
Stawią xiężniczkę w domu Królewica,
W sobolich szatach z perłami na głowie
Hożą, rumianą, i gładkiego lica.
Schyleniem głowy męża naprzód wita
Dziwi się gmachom i o wszystko pyta.

Przy samym ślubie i oddaniu ręki,
W koło Litewscy stali wojownicy
Na barkach rysie, rozdarte paszczęki
Lwów srogich, powiérzch zdobiły przyłbicy;
Wąs zawiesisty, wzrok ogniem się żarzy,
Obok powagi łagodność na twarzy.

Weselnym godom przydali naywięcey,
W śnieżnym ubiorze z kwiecistemi splety,
Przez Giedymina powróceni jeńcy,
Starcy, mężowie, dzieci i kobiety;
Ci widząc kray swóy po długich cierpieniach,
Radość swą w tkliwych wyrażali pieniach.

Łokietek tak się do ludu odzywa:
„Złamany wiekiem i trudami woyny,

„ Synu móy, tobie ta ręka sędziwa,
„ Zda wkrótce berło i kray ten spokoyny,
„ Jam musiał walczyć, ty korzystay z boju,
„ I spraw by Polska zakwitła w pokoju.

„ Po tylu walkach krew co jeszcze płynie,
„ Niech wsiąknie w ziemię, jeńce com ci wrócił,
„ Niech zaludniaią bezdrożne pustynie,
„ Niech pług naprawia co oręż wywrócił,
„ Wznoś gmachy, utwierdź kray świętemi prawy,
„ I w szczęściu Polski szukay tylko sławy.

Kazimiérz Wielki.

Przez trzy wieki z męztwa znany,
W męztwie Polak miał swe cnoty:
Na koniu burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty,
Ugorem stały obszary,
On bił Niemcy i Tatary.
    Było to widzenie nowe,
    Gdy król zwołał do Wiślicy,
    Polaków plemie marsowe,
    Oni w zbrojach i przyłbicy,
    Sądząc, że wojować mieli,
    Licznemi hufcy stanęli.

Kazimiérz rzekł im: „nie boju
„Dziś od was żądam Polacy,
„Czas byście żyli w pokoju,
„I rycerze i wieśniacy,
„Niech kraje bronią zajęte
„Uszczęśliwią prawa święte.
To mówiąc spisane xięgi
Z ręku Mielsztyna odbiéra,
Pieczęć wisiała u wstęgi.
Ten zakon, rzecze zawiera
Przyszłego szczęścia zarody
Waszą całość i swobody.
Nie dość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym bydź w domu
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nieszkodziła nikomu,
Gdzie sądu zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa.
Jak w dzień majowéy pogody,
Gdy deszcz ciepły przeymie role,
Budząc uspione zarody,
Żyzne zazieleni pole,
Tak rządem co mądrość dała
Zakwitnęła Polska cała.
Przychodzień tłumem się zbiéra,
Na odgłos lubéy swobody.

Już pustynie pług rozdziéra
Wspaniałe wznoszą się grody;
Szereg twierdz, co granic strzeże
Obronne baszty i wieże.
Nie raz król po włościach chodził
I nie raz z kmieciem rozmawiał,
Wspiérał w pracach, spory godził
Nagradzał, w błędach poprawiał,
Ceny pochwały nie znano,
Gdy go królem chłopów znano.
Już pod berło Kazimierza,
Cisną się bliskie narody,
Zakres się państwa rozszerza;
Ci co piją Sanu wody
Wołyń na ówczas bezdrożny,
I Lwów i Halicz przemożny.
Szczęśliw wraca do stolicy,
A lud go wita wesoło,
Radne pany, wojownicy,
Otaczają go w około,
Niosły przodem hufce mnogie,
Korony i skarby drogie.
Tam wnuczkę cudnéy urody,
Z Cesarzem śluby kojarzy,
Wzywa na weselne gody,
Czterech potężnych mocarzy,

Królów, xiążąt, z Niemiec całych,
Mieści po gmachach wspaniałych.
Widziano przepych nieznany,
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Od piękności dank przyznany,
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach,
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wsród oklasków z szranków schodził.
Monarchow poczet wesoły
Prosi do siebie Wierzynek,
Od srebra gięły się stoły,
Każdy biorąc upominek,
Myśli: szczęśliwy kray cały
Gdy tak mieszczanin wspaniały.
Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody,
Pod nim naród był szczęśliwym
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdatni,
Takim był z Piastów ostatni.

Jadwiga Królowa Polska.

Kiedy dni Piastów przecinał się wątek,
A prawo berła w Jadwidze złączone,
Na ten jedynie krwi nam lubéy szczątek
Oczy Polaków były obrócone.

Jaśniała wdzięki królewska dziewica,
Pomimo tronu była płci swéy chlubą,
Wspaniała postać, cudna piękność lica,
W mowie, w uśmiechu, w każdym czynie lubą.

Nie dziw. że tknięci jéy cnotą i wdzięki
Liczne xiążęta i rycerze mężne,
Chcieli pozyskać z darem takiéy ręki,
Piękną niewiastę i państwo potężne.

Piérwszy Ziemowit młody i zuchwały
Rzekł, idę z Piastów i będę jéy mężem;
Już licznêm woyskiem przebiega kray cały,
Berło i żonę chce zdobyć orężem.

Wilhelm Rakuski kładł nadzieje pewne
W bogatych szatach, w utrefionych włosach;
W tym, że z dzieciństwa znał jescze królewnę,
Więc dumny dobrze tuszył o swych losach.

Gdy ci w Krakowie, z niewymównym trzaskiem,
Przybywa z Wilna Jagiełło wspaniały,
Z nim bracia świetnym uderzali blaskiem,
W złotych kołczanach szparkie niosąc strzały.

Kiedy na zamku poselstwo sprawiali,
Piękność królewny mowę im odjęła,

Szmer zadziwienia rozszedł się po sali,
I łubym wstydem dziewica spłonęła.

Pani, rzekł Witold, nie tylko swe kraje,
Obszerną Litwę, i kosztowne dary,
Lecz ci Jagiełło z państwem rękę daje,
Dla ciebie przodków wyrzeka się wiary.

Przyjm go; tu Wilhelm naprzód się wydziera,
Mnie rzekł z dziecinstwa zmówiona Jadwiga!
Witold zawołał, więc rzecz co nas spiera,
Niech się bez zwłoki tym mieczem rozstrzyga.

Tu zapalczywy Ziemowit przerywa:
Groźb się nie boję, odmowy nie czekam,
Dosyć dla Piasta że Polska szczęśliwa,
Slubny Jagielle, ja praw mych się zrzekam.

Jadwiga drżącym głosem odpowiada:
Ofiary które dwa narody spoją,
Pierwszém mém prawem, to niech sercem włada,
Panny Jagiełło, ta ręka jest twoja.

Monarcha Litwy radością przejęty,
Z bracią prawemu Bogu cześć oddawa,
Na silne barki strumień lejąc święty
Kapłan mu kładzie imię Władysława.

Już na wyniosłym zasiadł majestacie
A obok mieysce królowa zabiera,
Z wieńcem na głowie w złotolitey szacie
Łagodnem okiem na lud swóy spoziera

Stali ozdobni przez ubiór i zbroje
Pierwsi z rycerstwa Litwy i Polaków
Brzecząc jak gdyby pszczół wiosenne roje,
I chwiejąc pióra ogromnych szyszaków.

Jadwiga mówi: dzielni wojownicy!
Wspólnego odtąd doznający losu,
Drogiey krwi Piastów ostatniey dziewicy,
Wieszczego dzisiay posłuchaycie głosu.

Gwoli naszemu szczęściu i potędze,
Ta ręka dzisiay Jagielle oddana,
Niech jedność w świętey stwierdzona przysiędze,
Żadną przygodą nie będzie zerwana.

Jeżli zuchwalec starga węzeł braci,
Ja go zarzekam w tem obliczu Boga,
Czarnym zgryzotom niech wszystko utraci,
Niech wieczna zawsze otacza go trwoga.
Krzyknął lud cały, wspólni w każdey dobie,
Zostaniem wierni twemu pokoleniu.

Tu zbroyne ręce podawając sobie
Stwierdzili jedność w czułem uściśnieniu.

Odtąd Jadwiga staranie swe łoży,
By Polskę widzieć kwitnącą, bezpieczną,
Lubym swym głosem, kiedy król się sroży,
Nieraz łagodzi surowość zbyteczną.

Gnębiła włościan woyska chciwość wściekła,
Król mówił: gwałty niechay sąd ukróci,
Niech odda własność; ta mu smutnie rzekła:
Wrócą się szkody, lecz któż łzy powróci.

U niey z dobrocią odwaga złączona,
Bo gdy król w Litwie uśmierzał rozterki,
Targnął się Rusin; gniewem uniesiona,
Uczuła w sobie męztwo bohaterki.

Śnieżne swe czoło już hełmem okrywa,
Na dzielnym koniu z dobranemi szyki
Uderza; twierdze warowne zdobywa,
J do poddaństwa wraca buntowniki.

To życie tylu wsławione cnotami,
Śmierć nielitosna zbyt wcześnie przecina,
A Polak grób jey oblewając łzami,
Piękną Jadwigę dotychczas wspomina.

Władysław Jagiełło.

Bitwa pod Grunwaldem z Krzyżakami.

W bluźnierskich błędach Litwin zaślepiony,
Fałszywym bogom oddawał ofiary,
Kiedy Jagiełło lud swóy ulubiony,
Prawey Chrystusa przyszedł uczyć wiary.
Kruszył bałwany; gdzie gmachy pogańskie,
Wznosił przybytki i ołtarze pańskie.

A kędy Wilii płynęły strumienie,
Lud w śnieżnych szatach zgromadzon w porządku,
Ze chrztem odbierał światło i zbawienie;
Gdy wśrzód świętego kapłanów obrządku
Donoszą, gońce że Krzyżak zdradliwy,
Mieczem i ogniem niszczył Polski niwy.

Król rozgniewany czynem tak zuchwałym,
Rozsyła wici w powiaty i ziemie:
Ciągnie ozdobne rysztunkiem wspaniałym
Na dzielnych koniach mężne Lecha plemie,
Xiąże Mazowsza z swym ludem gotowym,
I śmiały Witold w pancerzu stalowym.

Już do Grunwalda woysko się zbliżało,
Kiedy przed królem mąż krzyżacki staje,

Trzymał dwa miecze z postacią zuchwałą,
„Mistrz móy, zawołał, teć oręże daje
„Dla lepszéy w walce dzisieyszéy usługi,
„Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi."

Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą,
Na karki dumnych, Jagiełło odpowie,
Tu wzniosłszy oczy: o naywyższa Władzo!
Boże, co dzierzysz w ręku ludów zdrowie,
Błogosław w słusznym boju wojownikóm,
Day nam zwycięztwo, zgubę najezdnikom.

A w tym na konia cisawego wsiada,
Dobywa miecza i zniża przyłbice,
Woysko, nim trąba walkę zapowiada,
Zaczęło śpiewać pieśń: Boga Rodzice,
Huknęły kotły, dzwięk zaszczęknął broni,
I ziemia drżała pod tententem koni.

Jak czarne chmury pędzone wiatrami,
Gdy z srogim grzmotem uderzą o siebie
Tak hufce Polskie z Krzyżaków rotami,
Zwarły się trzaskiem w téy ciężkiéy potrzebie,
Wre krwawa bitwa, a zawsze na przedzie,
Król swych Polaków, Witold Litwę wiedzie.

W tym z boku Dypold rycerz znamienity
Leci i wszystko wywraca i łamie,
Miał zbroję czarną, krzyż na boku ryty,
Kaptur na głowie, pas złoty przez ramie:
Nikt go nie wstrzymał i nikt go nie strwożył,
Natarł na króla i drzewcem nań złożył.

Król odbił włocznią, drugi cios śmiertelny,
Dypold nań mieczem ogromnym wymierza,
Widzi to, bieży Oleśnicki dzielny,
I jednem cięciem obala rycerza,
Ten gdy powstając sztyletu dobywa,
Król ostrym mieczem piersi mu przeszywa.

Złamani ze wszech stron nieprzyjaciele,
Zwycięzkiem woyskiem, nie walczyli więcey,
Poległ Mistrz Wielki na rycerstwa czele,
Poległo Niemców pięćdziesiąt tysięcy,
Uszłe przed mieczem szczątki rozproszone,
W lasach i bagnach znalazły ochronę.

Po bitwie pierwsi z wodzów znakomitych,
Przyszli rzucając pod królewskie nogi,
Pięćdziesiąt jedna chorągwi zdobytych,
Za niemi widok przybliżył się srogi,
Na czarnym wozie powoli ciągnione
Wielkiego Mistrza zwłoki krwią zbroczone.

Król patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie: zgon rzekł tego męża
Zagładza pamięć na krzywdy zadane,
Winien czcić męztwo ten który zwycięża.
Niech ten co walczył i mężnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony posługą.

Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
W tryumfie nieście; niech w państwa stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone;
Niech na ich widok zadrżą hołdownicy.
Zczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki.

Zawisza Czarny.

Wśród gór Karpackich w zamku starożytnym
Mieszkał rycerz zawołany:
Był on przed laty i sławnym i bitnym,
Lecz dzisiay wiekiem złamany,
Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzał z westchnieniem na wiszącą zbroję.

W starości jedna została otucha,
Syn w którym miał się odrodzić,
W nim z młodu niecił wojennego ducha,
Uczył jak na ostrze godzić;

A gdy Zawisza już miał wojować,
Sam oyciec chciał go rycerzem passować.

W obliczu ludu, wsrzód Pańskiey swiątnice
Bierze młodzian cześć rycerza,
Oyciec mu wkłada pancerz i przyłbice,
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny;
Broń twey oyczyzny, bądź kochance wierny.

Zawisza Czarny; gdyż z tego imienia
Znany był poźniey u świata,
W cięzkiey kolczudze, nie tknąwszy strzemienia;
Lekko wskoczył na bachmata;
I gdy wesoło w pośrzód szranków pląsał,
Wywijał mieczem, kopią potrząsał.

W krótce się wsławił czyny walecznemi,
I tak śmiałość jego znano,
Ze w Niemczech, Włoszech i Tureckiey ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów towarzyszy,
Polegay na nim jakby na Zawiszy.

Kiedy go Cesarz Zygmunt usiłuje
Zatrzymać dłużey u siebie,

Rzekł mu Zawisza: „Jagiełło wojuje
„I kray móy w ciężkiéy potrzebie.
„Wszystka krew moja, krew polskiéy młodzieży
„Lubéy oyczyznie piérwsza się należy.

Obdarzon zbroją, litym złotogłowem,
Do własnych wraca orszaków,
I pod Grunwaldem i pod Koronowem,
Przeważnie gromi Krzyżaków:
Tam czarny rycerz łamiąc pyszne hordy
Siał wszędy postrach i okropne mordy.

Zygmunt co wszystkie nadzieje pokłada
W męztwie czarnego rycerza,
Gdy państwa jego Muzułman napada,
Jemu los woyny powierza:
I sam gdzie Dunay Gołąbne obliwa,
Z ogromném woyskiem bystry nurt przebywa.

Ledwie na drugiéy stanął Cesarz stronie,
Gdy uyrzał Tureckie hurmy,
I blask xiężyca i męże i konie,
I wrzask przeraźliwéy surmy:
Na groźny widok trwodze się poddaje
Wraca za Dunay gdzie obozem staje.

Lecz wraz spostrzegłszy że Zawiszy niéma,
Szle poń jednę z swoich łodzi,
Mąż gońca mierząc srogiemi oczyma,
Rzekł: Zawisza nie uchodzi;
Ci co się zlękli, ci mogą uciekać,
Polacy wolą chlubnéy śmierci czekać.

Koń móy i zbroja! zawołał na sługę
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z srebrnemi gwiazdami kolczugę,
Wkłada mu szyszak ogromny,
Z wierzchołka czuba czarna końska grzywa
Jeży się w górę i na barki spływa.

Tu tarcz ściskając zbroynemi rękami
Podług rycerstwa zwyczaju,
Żegnam was, woła twarz skrapiając łzami,
O luba żono i kraju!
W tem zniża drzewce, bodźcem konia zwiera,
I samotrzeci na tłumy naciera

Ta zbroja czarna widokiem wspaniała,
Ten orzeł w pośród pancerza,
I blask oręża i postać zuchwała
Zdziwieniem Turków uderza.

Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników.
Wpada Zawisza w tłumy zbroynych szyków.

Gdzie płomienistym orężem zabłyska;
Pod ciosami płytkiey stali,
Na Karacenach srebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali:
Jak groźny Ajax, lub Achilles śmiały
Kędy uderzył tysiące pierzchały.

Znużon zwycięztwem gdy już słabiey włada
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada
I topi mieczow tysiące:
Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina;
Konając lubą oyczyznę wspomina.

Władysław Warneńczyk.

Był to dzień wielki w całey Polszce głośny,
Gdy się Jagielle syn pierwotny rodził,
Gdy przyyście jego przez okrzyk radośny,
Naród obchodził.

Na ten czas Witold dzielnem swém ramieniem
Zbiwszy za Wołgą hordy Tamerlana,

Przybył i witał lubém uściśnieniem
Młodego Pana.

Podniosłszy w górę królewską dziecinę
Rzekł: ziemi, nieba wiekuisty Panie!
Niechay to Xiążę po wszelką krainę
Sławnym się stanie.

Tu upominki przez stryjów oddano,
Te Witold swemi pomnożył,
W kolebkę z srebra czystego ulaną,
Dziecinę złożył.

Sam go sposobił ku kraju obronie,
Lecz xiąże ledwie rok dwunasty liczył
Stracił Witolda i po oyca zgonie
Tron odziedziczył.

Skoro się uyrzał na Chrobrego drodze,
Niedał się zdroznym chuciom powodować
Lecz wziąwszy silną dłonią rządu wodze
Umiał panować.

Jemu to, w jego wspaniałey stolicy,
Jako przed swoim i królem i panem,

Pomorzan, Wołoch, i Multan lennicy
Bili kolanem.

Znając jak król ten był możnym i śmiałym
Troskliwy o swą całość i obronę,
Naród Węgierski w poselstwie wspaniałym
Niósł mu koronę.

Bitnemi ludy gdy już dzielnie włada,
Gdy tron Cesarzów w Bizancyum się chwieje,
Rzym i świat cały w nim jednym pokłada,
Wszystkie nadzieje.

Już świat zadziwia walecznemi czyny,
Już gromi Turków przez okropne klęski,
Z nim orzeł biały niósł w obce krainy,
Polot zwycięzki.

A gdy pociągnął pomiędzy Słowaki,
Co obce jarzmo niecierpliwie znoszą,
Ci widząc wspólną mowę, ród ród jednaki,
Królem go głoszą.

Szczęśliwy: gdyby Słowiańskie narody,
Spoiwszy, u nich chciał tylko panować,
A żądze sławy i bojów zawody
Umiał hamować.

Nieraz mu rada wierna przekładała:
Królu, dość w chlubnym dokazałeś boju!
Pięknie zwyciężać ale większa chwała,
Słynąć w pokoju.

Przemógł Rzym i głos Chrześciańskich panów,
Przemogła sława! na wszystko niepomny;
Wszczyna pod Warną z tłumem Muzułmanów,
Bóy wiarołomny.

Gdzie mieczem błysnął, tam przed nim leciały
Postrach, okropne rany i śmierć blada,
A każdy co nań targnie się zuchwały,
Zwyciężon pada.

Nakoniec tylu straty rozjątrzone,
Lecą nań Spahy z okropnemi głosy;
I topią w czoło z hełmu obnażone,
Śmiertelne ciosy.

Pada Władysław... pod ciężkim żelazem,
Pod zbroją ziemia jęk smutny wydaje,
Lecz i po zgonie twarz srogim wyrazem,
Grozić się zdaje.

Kazimierz Jagiellończyk.

Władysław poległ, głos się zaczął szerzyć
O ciężkiey klęsce pod Warną,
Lecz śmierci jego naród niechciał wierzyć,
Przejęty rozpaczą czarną.
W dalekie kraje wysłał liczne posły
By mu o losie monarchy doniosły.

Na próżno gońce Carogrod wspaniały,
Obce zwiedzili narody,
Próżno się głos ich obijał o skały,
Już nie żył bohater młody;
Polacy smutne bezkrólewie głoszą
I bratu berło ze łzami odnoszą.

Kazimierz w Litwie spędziwszy wiek młody,
Litwę nad wszystko przekładał,
Życzyła Polska, by dwiema narody,
Jak Władysław wspólnie władał,
Trzy lata zeszło po braterskim zgonie,
Nim go Polacy ujrzeli na tronie.

Ledwo wziął berło, już Krzyżak zażarty,
Co nigdy Polszcze nie sprzyja,
Z Elby i Renu posiłkami wsparty,

Chorągiew buntu rozwija;
Król zagniewany świetny bułat bierze,
I mężne w pole wywodzi rycerze.

Pod Choynicami krwawy bóy stoczony,
Legły Polaków tysiące,
Już król walecznych szyków pozbawiony
Czuje swe siły mdlejące,
Już pada pod nim biegun wiatronogi
I słońce gaśnie i wicher dmie srogi.

Kiedy rozpacza w tak okropnym razie,
Głos go nieznany uderza,
Widzi wspartego na poblizkim głazie,
We krwi potokach rycerza,
Ten ciężką ranę gdy ręką zakrywa,
Tak się do króla swojego odzywa:

„W jakim o królu oglądam cię bycie!
„Bierz konia mego co prędzéy,
„Przed buntowniki unoś drogie życie,
„Nie patrz na widok méy nędzy.
„Mnieysza, że legnę pod srogiemi ciosy,
„Ty żyi i czuway nad królestwa losy."

Król ściąga szyki, porządek przywraca,
W koło Choynice oblega,
Szturmowe działa przed miasto zatacza,
Kusz gęstych huk się rozlega,
Ogniste kule przez powietrze lecą,
I w pysznych gmachach srogi pożar niecą.

Wzięty gród szturmem: niewiasty trwożliwe
Litości króla błagaja,
Iarzma Krzyżaków Prussy niecierpliwe,
Całkiem się Polszce oddaja.
Pomścił lud ucisk i Krzyżackie zbrodnie,
I złączon z Polską, żył odtąd swobodnie.

Po długich walkach zwołał król w Piotrkowie
Na obrady mężów biegłych,
W tenczas raz pierwszy ziem wszystkich posłowie
Ciągnęli z krain odległych,
Z brzegów Baltyckich Słowiańskie narody,
I ci co piją mętne Dniepru wody.

Kazimierz zasiadł na tronie wyniosłym,
W koronie, w szatach ozdobnych,
Przy nim sześć synów w wieku już dorosłym
I siedem córek nadobnych,
Nikt w tenczas myśli z patrzących nie zwrócił
By ród tak drogi Polskę osierocił.

Na stopniach tronu w okazałym dworze,
Lenni xiążęta stanęli,
Hospodar Wołoch, i ci co Pomorze,
I co Mazowsze dzierżeli,
Za niemi świetne poselstwo przybywa,
I Władysława na tron Czeski wzywa.

W tenczas Jagiełłów rozkrzewione plemie,
Szeroko wszędy słynęło,
Czechy, Szląsk żyzny, i Węgierską ziemie,
Pod berło swoje ujęło,
Gdy wszystko kwitnie, wszystko wieńczy sława,
Kopernik światu nowe nadał prawa.

Jan Albrycht

Już był Carogrod i kraine Tracką
Zdobył oręzem Muzułman bezbożny
Strącił krzyż, a wzniósł ręką świętokradzką
Xieżyc dwóyrożny.

Rzym co wprzód całą opanował ziemie
Zadrżał w posadach: drżało chrześciaństwo,
Poszły Ateny i Cezarów plemie
W cięzkie poddaństwo.

Piérwszy Jan Albrycht chorągiew rozwija
By ustrzymać nawał zaborów zwycięzkich,

Tkwiła w pamięci śmierć nieszczęsna stryja
W polach Warneńskich.
Ufny w tenniku i pewien przymierza,
Do Wołoszczyzny Król z woyskiem wstępuje,
Hospodar mniemając, że Albrycht nań zmierza
Zdradę gotuje.
Jest las rozciągły okiem nieprzeyrzany
Od czarnych buków imię swoje bierze
Tam Król gdzie bezdroż i skał stromych ściany,
Wiódł swe rycerze.
Gdy żołnierz w rotach mniey porządku zważa,
Huk go raptowny trwoży i zdumiewa,
Walą się z trzaskiem, co puszczę przeraża
Podcięte drzewa.
Na próżno hełmy i zbroje staliste,
Wyniosłe kopie, daremne w obronie,
Gniotą tłumami łomy gałęziste,
Męże i konie.
Co więcey łozy i trawę i dęby
Zdradne Wołochy w koło zapalili,
Powiększał wicher pędząc dymu kłęby
Okropność chwili.
W tém zamieszaniu wśród zgiełku i krzyków,
Próżno głos wodzów woła na żołnierza,
Stefan na resztę spracowanych szyków
Śmiało uderza.

Król w cięzkim razie widząc woysko swoje
Acz wspól zemdlony każe konia stawić,
Woła na dwór swóy, idźmy dzieci moje
Bitwy poprawić.

Na głos Albrychta pewna piękney sławy
Z orężem w ręku leci dziarska młodzi
W pośrzodku bębnów i trąb, kotłow, wrzawy,
Na zdraycow godzi.

Cofa się Stefan, król ciemnym wąwozem,
Wyszedłszy w błonie, Bogu dzięki daje,
Grzebie poległych i czwartym obozem,
Nad Prutem staje.

Był Albrycht hoyny, miał umysł wyniosły
Lecz choć odważny, nie zawsze zwyciezki
Pod nim to Ruskie krainy odniosły
Okropne klęski.

Heroida.
Sokrates do swoich Przyjacioł.
przez
Cypryana Godebskiego.

Non omnis moriar. Horat.

Ja umiéram... nie płaczcie przyjaciele moi!
Niewinnemu ni postrach ni żal nie przystoi.
Bardziey mnie wzrusza widok waszych łez i trwogi;
Czyż dla płaczu jest dany ten moment tak drogi?

Czyliż to was ma smucić że niesłusznie ginę?
Chcecież żeby Sokrates umierał za winę?
Niech się ten raczey smuci i płoni za karę,
Z czyjey ręki niewinny idzie na ofiarę.
Mniemano, iż mnie strwożą śmierci bliskiey cienie,
Wszak nas wszystkich wskazało na śmierć przyrodzenie,
Smierć powszechna... lecz tylko z przeznaczeniem innem,
Wstyd idzie za zbrodniarzem, a żal za niewinnym.
Zgon dla ludzi cnotliwych jest kresem cierpienia,
Winowayca w nim czuje srogość udręczenia.
Coż nakoniec ja tracę w tey lat schodząc dobie?
To co w nas jest nieznośnem i innym i sobie
Słuch słaby, wzrok stracony, niedołężność z laty,
Oto są dobra, których żałować mam straty.— —
Rzuciwszy świat występny i tę bryłę gliny,
Istność się moja wzniesie w niebieskie krainy.
Ach jeźli mnie nie łudzą te przeczucia dzielne,
Te wyższości umysłu piętna nieśmiertelne;
Troskliwość o los mego po zgonie jestestwa,
I ten wstręt który czuję na obraz nicestwa,
Smiało rzucam to jarzmo, które nas tu gniecie:
Przyjaciele! ja uyrzę was na innym świecie.
Bez tey myśli do kaydan tylko człowiek zdolny:
Kto wierzy w nieśmiertelność ten jest zawsze wolny,
Kogo przeraża kara, głos dręczy sumienia
Taki w łonie nicestwa chce szukać schronienia.— —

Zostawmy więc podobne myśli dla niecnoty. — —
O ty co licznych świątow rozrządzasz obroty!
Który wkrótce z twą boską złączysz mą istotę,
Boże! tyż własne twoje zniszczysz dzieło: Cnotę?
Nie... ucieczką jey będzie twóy trybunał prawy;
Gardzę światem, gdy niebo sędzią mojey sprawy!
Złożywszy z zimnym prochem, błędy, nędzę, w grobie,
Wielki Boże! ja prawdy szukać póydę w Tobie!
Oczekuję z radością ostatniey godziny:
Naywiększą jest pociechą umierać bez winy.
Nie lękaycie się śmierci — bóycie się zhańbienia — —
To jest prędkie i idzie obok wykroczenia. — —
Mimo wpływu mych potwarców i ich wziętość wielką
Nie potrafią uyść oni przed hańbą mścicielką;
Już ją widzę jak ściga te przewrotne wrogi,
Jak na nich zbladłych pada, tłocząc ich pod nogi.
Anitus mnie się lęka wśrzód swoich potwarzy:
Wzrok cnotliwego strachem przeymuje zbrodniarzy.
Lecz niech zgon móy zakończy jego niepokoje,
On od wstydu przedemną miał dosyć za swoje;
Niech zguba moja z którey chlubi się oszczerca
Nie oziębia waszego do oyczyzny serca.
Choć za miłość rodaków, mam od nich truciznę,
Jeszcze raz wam powtarzam: kochaycie oyczyznę!
Uzbrojeni stałością, wśrzód jego zapędów,
Gardźcie nim; albo jego litujcie się błędów.

W prawdzie, to się stać miało, jakimś losem smutnym:
„Mądry musi przez prawa ulegać okrutnym."
Nie — Prawo bydź nie może ludzkości uciskiem
Człek choć możnych ofiarą, lub stał się igrzyskiem,
Chociaż mu gwałt, niestety! żyć nie da swobodnie,
Ma prawo się, przynaymniey obruszyć na zbrodnie — —
Lecz dobry woli raczéy bydź ucisku celem,
Niż twórcą, czyich nieszczęść albo burzycielem.
Niedoścignionych losów dla ludzi wyrokiem,
Mędrzec będąc zmięszany z tym nikczemnym tłokiem,
Który, zbyt słaby znosić, mocny złe wywierać,
Nie umie życia użyć, nie umie umierać,
Różni się od téy tłuszczy przez stałość i cnoty:
Stojąc jak cedr nietknięty pomiędzy wywroty.
Umie myśleć i w sobie znaleźć pocieszenie:
Nie narzeka na woli wszechmocnéy zrządzenie,
Która zmięszawszy cnoty, rozkosze, cierpienia;
Jedyne stałe dobro, dała mu pragnienia.
On innych w sobie nie zna, prócz światła nabycia,
Doskonali swóy umysł, aż do kresu życia.
Mając swe szczęście w sobie, nigdy nie rozpacza,
Sam surowy na siebie, lecz innym przebacza.
Kiedy widzi cierpiących, nie bada przyczyny:
Kto niechce ulżyć nędznym, ten w nich szuka winy;
Lecz jego dla nich czułość nie wygasa z wiekiem;
Wspiera człeka dla tego, że sam jest człowiekiem.

Mówi zawsze jak myśli i działa otwarcie:
Czyni dobrze, a kiedy sam odbiera wsparcie,
Wdzięczność swoją powszechnym długiem bydź uważa.
Tak jest. – Niewdzięcznik liczbę nieczułych pomnaża.
Niebada w cudzych sercach, nie lata po niebie,
Jego pierwszą nauką: "znay samego siebie."
Nigdy w nim imię mędrca próżności nie budzi
Wierny dla swych przyjaciół, kocha wszystkich ludzi.
Szczęście różną ma postać w mniemań ludzkich tłumie,
Mędrzec szczęścia od cnoty rozróżniać nie umie:
Nigdy żądza umysłu jego nie zapala
Szukać sławy przykładem płochego Dedala.
Piękne nauki w oczach jego są podnietą,
Lecz chce, by te nie kunsztem, lecz były zaletą.
Potąd się z nauk dobra spodziewać nie trzeba,
Póki te będą kunsztem, a ten kunszt dla chleba:
Tam się tylko mądrego myśl całkiem zacieka,
Gdzie może odkryć dobro istotne człowieka.
Wierzy w Bóstwo, lecz czasu na płochem nie traci
Szperaniu, jak Bóg mieszka, jakiey jest postaci;
Nie bada jakie światem powodują ruchy,
Jakiey Bóg, jakiey imey natury są duchy.
Jego maxym jest cała na tem tajemnica:
„Między złym i cnotliwym, musi bydź różnica"——
Te są me zdania, z których nigdy nie zboczyłem,
Zawsze miałem je w sercu i szczęśliwy byłem;

Szczęśliwy, ile można bydź na tym padole,
Gdzie naszym są udziałem: błędy, nędze, bole.
Nabycie szczęśliwości jest w łatwym sposobie
Lecz nie szukay jey próżno, gdy jey nie masz w sobie.
Ta nauka przepisów nie wymaga długich
Znaydziesz twoją szczęśliwość w szczęśliwości drugich.
Chcesz by każdy z szacunkiem mówił o twéy cnocie?
Za jakiego uyść żądasz, takim bądź w istocie.
Nie unikay rozkoszy, lecz chroń się nałogów,
Mniey ich masz, więcey jesteś podobny do bogów.
Nie jeden goniąc rozkosz, wpadł zdradne jey sidło
Nic nazbyt! to jest człeka mądrego prawidło.
Pomierność w życiu twojém da ci czerstwe zdrowie:
Dobra nam udzielają za pracę bogowie.
Wierni waszym prawidłom, a stali w zamiarze,
Bądźcie wyżsi nad zazdrość, szyderstwa, potwarze,
Nie zważaycie że Sokrat miał Arystofanów,
Że cnota ma potwarców a prawda tyranów;
Oni wszyscy dla cnoty większy tryumf robią,
„Zły pracuje na laury które mędrca zdobią." — —
Ich imię rychło póydzie w niepamięć u świata
Albo wspomną ich w tenczas, gdy wspomną Sokrata.
Lecz jest czego żałuję w tey ostatniey chwili..
Oto tych którzy jeszcze po mnie będą żyli — —
Ludzie w swojey ciemnocie w pośród ucisnienia,
Potrzebują dwóch środków światła, pocieszenia.

Niech oni w mych następcach znaydą, to oboje;
Niech przez was dopełnione będą, chęci moje;
Niech im zmartwienia moja nie przynosi strata;
Daycie im w waszych czynach zapomnieć Sokrata.
Prawda, że lud przemocy i błędu narzędzie,
Często niszczyć budowę swego szczęścia będzie — —
Lecz igrzysko przemocy, chytrości i zbrodni,
Tem bardziey potrzebuje rozumu pochodni.
Obłuda nieraz cnoty postawę przywłaszcza;
Często pycha wyziéra z pod lichego płaszcza;
Daycie więc innym uczuć przez szlachetne cele
Czém się różnią od mędrców ludu zwodziciele.
Ale dając naukę, daycie przykład razem:
Piérwsze tylko rysunkiem, drugie jest obrazem.
Brońcie imienia mędrca nadużyć bezkarnie,
Biada tym, którzy jego tytuł noszą marnie!
Mędrzec zna, że prócz chwały czas wszystko zagrzebie
Nogą swą tyka grobu, lecz umysł ma w niebie,
Możeż więc jego krokiem jaka zachwiać siła?
Bądźcie zdrowi!... już moja godzina wybiła.

Na chatkę Alpeyską.

przez tegoż.

Luba chatko! ty stawiasz w mych oczach wiek złoty,
Gdzie człowiek żył na łonie niewinney prostoty;
Był szczęśliwym; a jasney życia jego przędzy,
Nie zasępiały pasma i zgryzot i nędzy;

Gdzie ludzkość była długiem co się płacił wzajem,
Własne uczucie prawem, a cnota zwyczajem.
Wszyscy tam jednym rodem, jednym byli stanem
Żądze niewolnikami, a rozum ich panem.
Kontenci ze schronienia, wśród niekształtney budy
Nie znali co pałace, ani co ich nudy.
Zabawy ich niewinne nie rodziły sporów,
Gra w chwili nie chłonęła wieloletnich zbiorów.
Gra to dziecko łakomstwa, a matka rozpaczy,
Która jednych niesławą, drugich nędzą znaczy.
W obyczajach niewinni w powinnościach zgodni:
Nie wiele znali ustaw, a mniey było zbrodni.
Mniey znali cnoty nazwisk – więcey ich pełnili,
Mniey mówiąc o ludzkości, bardziey ludźmi byli.
Każdy w sobie nagrodę znaydował swych czynów;
Przykład oyca, praw xięgą był dla jego synów:
Miłość tworzyła związki i te wieńczył statek
Matki cór były wzorem, te ozdobą matek.
Podłość nie ubóstwiała niszczycielów świata
Człek w rządzcy widział oyca, rządzca w człeku brata:
Ani sąsiad o swoją własność bojaźliwy,
Kamieniem swey od cudzey nieprzedzielał niwy.
Dumny patron z praw ciemnych nie wyjeżdżał księgą,
Ufność była rękoymią, a słowo przysięgą.
Obłuda dobra kraju nie brała postaci,
Człek swe szczęście zakładał na szczęściu współbraci,

Zasługiwał na pamięć choć nie znał co sława,
Mniey mówił o przyjaźni, znał lepiey jey prawa.
Kontent z swych oyców ziemi, z swéy pracy bogaty:
Nie szukał śmierci, nowe odkrywając światy.
Wad obcych za oycowskie w kray nie niósł dostatki,
Nie wstydził się języka który wyssał z matki.
Zdań różność nienawiści nie była pochodnią;
Błąd umysłu był błędem, wady serca zbrodnią.
Szczęk broni lękliwego nie płoszył pasterza:
Nie znał on inszych wrogów, prócz leśnego źwierza;
Radosnych jego pieśni nawykłe multanki,
Nie umiały się skarzyć na zdradę kochanki.
A nucąc swoje szczęście na wieśniaczym flecie,
Nie wierzył, żeby inne bydź mogło na świecie.
Taki byłeś za naszych oyców, czasie złoty!
Potomki snem bydź mienią ich szczęście i cnoty;
A z czasu, w jakim sami żyją, biorąc miarę
Słodzą go, między bayki kładąc wieki stare.

Powrót z Warszawy na wieś.

przez
Franciszka Karpińskiego.

Otoż móy dom ubogi, też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja!.. wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcey pochyliło.

Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokoyny siadł przy stole wieyskiego warzywa:
Z swéy obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napóy i wierną, przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniéy myślił, oszukany,
I w ukrytym gdzie kącie żył raczéy nieznany;
Gdyby o mnie w powiecie nawet niewspomniano
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku.

Com zyskał? że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli."

Com zyskał, na wysokie pańskie piąć się progi?
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.

Kiedy mnie oyciec stary żegnał przy swym zgonie,
„Idź (mówił) synu na świat, w jakiéy będziesz stronie
„Pamiętay że na Prawdzie nikt nigdy nietraci,
„Zostawiam cię ubogim, Prawda cię zbogaci!"
Słuchałem cię oycze móy! Goszcząc między pany,
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany;
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy
A jeżlim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.

Cożem zyskał, pochlebstwem niesłużąc nikomu?
Otom wrócił uboższy, niż wyjechał z domu. — —
Nie przeto święta cnoto porzucić cię trzeba
Że wieku dzisieyszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniey miało szczęście pociec
Bo i z prawdą pięknie jest i tak kazał ociec.

Trzeba wyznać jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyje;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze,
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze. — —
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotey chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem? drugiemi pomiatał?
Nie otom ja pod drzwiami fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny;
Gdziebym się nieusuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokoyny będąc na tém, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inszy pnie się.
W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem ściągnąłem.

Cóż mi Książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa;
Po wieku mego wiosny niewróconey szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów, albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamoyskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mnie przywiązał nałóg uporczywy.
I co mi będzie lepiey w ubóstwie usłużne,
Zamieniay na motyki i żelaza płużne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe;
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biednieyszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo! siostro moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą zasmuconą,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono!
Poglądasz mi na ręce rychło jakim datkiem,
Wesprzę cię już goniącą majątku ostatkiem.
Nędza was jak popadła tak statecznie gniecie;
I tyś także jak widzę, prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzino! wy myślicie ślepi:
„On był między panami i nam będzie lepiey."

Byłem i byłbym pewnie panom na coś zdatny;
To wiém, a tego niewiém, zacom niepopłatny.
Stało się. nie mam swojéy, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niéy przebędę.

Wiérsze rozmaitey treści.

Żale Podstolego przed Skarbnikiem *)

O tempora! o mores!

Jakażto móy Skarbniku teraźnieysza młodzież!
Różna od swoich oyców przez zdanie i odzież;
Pogardziwszy żupanem, kontuszem i pasem,
Nie goląc głów, przestanie w Boga wierzyć z czasem.
Już to taki wiek nastał przed skończeniem ziemi
Jaja się rozumieją od kur bydź mędrszemi:
Nie modlą się, nie poszczą, rzecz więc oczywista
Że przyszły obiecane wieki Antychrysta.

Móy syn niemiał z maleńka do modłów ochoty.
Raz dałem mu obrazki z książką: Ołtarz złoty;
W trzy dni zdarł na kawałki, co widząc żałośnie,
Pomyślałem, oy wielki łotr z niego wyrośnie:
A choć dawne przysłowie złe karmi proroków, 1.)
Zgadłem jednak jak gdybym czytał z ksiąg wyroków.

*) Móy wuy, człowiek dawnéy daty u Jezuitów wychowany, żalił się na swego syna przed moim oycem z powodu tegoczesnéy edukacyi. Z téy przyczyny ten wiérsz wesoły napisany.

1) Prorokowi g.... w zęby.

Nie wierzy w opętanych, czary i odpusty:
Jada mięso w post wielki jak gdyby w zapusty,
I kiedy mu o drzewie zakazanym gadam,
Twierdzi że insze jabłko zjadł łakomy Adam.
Żegnać się kiedy błyśnie nigdy niepamięta,
Mszy świętey słucha tylko w pałacowe święta,
A gdy ja się krzyżuję i w pyski się tłukę
Przykład ten niesłuży mu za świętą naukę.
W czasie śpiewów porannych i ku wieczorowi,
Nigdy ani jednego Amen nieodpowi;
Nawet się gniewu niebios nielęka zuchwały,
Ani kar które zawsze bezbożnych potkały,
Bo kiedy z pierwszey wiosny błysnęło, zagrzmiało,
Stał jak mruk, gdym ja wrzeszczał: a słowo się stało!
Kiedy piorun uderzył tuż koło obory,
On mi doradzał stawiać jakieś konduktory,.
Mniema głupiec, że jeżli coś na czymś osadzę,
Zdołam przeto odebrać wszechmocnemu władzę
I pioruny co grzesznych przerażają trwogą,
Muszą bić w jego tyki gdzieindziey nie mogą.

O bluźniercza nauko zepsutego wieku!
O tym się nigdy dawniey nie pośniło człeku.
Nie tego nas uczyli Jezuici nasi
W owych czasiech gdy Polską rządzili dway Sasi,
W tych czasiech których których żaden Polak nienagani,
Kiedy i król pił gładko i wierni poddani.

Z młodu nas oswajano z kościelną posługą,
Byli mędrcy ponieważ ćwiczono ich długo,
I na Boga żywego nikt niebył nieukiem,
Bo zgodnie połączono Alwara z kańczukiem;
Dzisiay już ledwo takich Podsędków obaczę,
Jacy dawniey w Proformie siedzieli waszacze.
Ten w kraju na nayiwyższym był urzędu szczycie,
Co całe Quae maribus pojął należycie;
A cóż mówić o sławie naszych dyalogów,
Tyś udawał anioła, ja diabła, ci bogów,
Jak pięknie połączone by bluszczu wawrzynem
Tańczyło gerundium z plusquam i supinem.
Pomnę, gdy sodaliskim prefektem zostałem
Oh! z jakimżem godzinki zaczynał zapałem.
Bogdayto syn, jak starszy syn Pana Stolnika,
W nim jeszcze widać wierny obraz Katolika;
Sam otwiera, oczyszcza, przystraja kaplicę,
Sam zapala, objaśnia i sam gasi świecę:
Wie co śpiewać należy w poście co w adwencie,
Co w święto zwiastowania a co na poczęcie,
Kropiąc, dzwoniąc, klękając i kadząc bez miary,
Daje wzór nie jednemu proboszczowi fary.

Móy niedba że go oyciec zowie heretykiem
Czyta książki pisane baranim językiem
Do mądrych Rubczyńskiego dzieł niema ochoty
Piotr Skarga nie dla niego napisał żywoty

Mówi że tey drabiny niebyło i niema.
Co Jakób we śnie widział własnemi oczyma.
Nie wierzy w siedmiu braci co trzy wieki spali,
Ani w diabłów sądzących w trybunalskiey sali,
Smié wątpić odszczepieniec choć z ust oyca słyszy,
Że chléb święcony zmienia w niedopérze myszy.
Nie wierzy w woysko nowo zaciężnych żołnierzy, 1.)
Ni w Kordelas co w odsiecz złym afektom bieży,
Ni w pistolet co grzechy śmiertelne zabija,
Ni w kłębek który czyny ludzkie w jedno zwija,
Ni na ołtarz złożoney w strzelne akty świécy,
Ni na puszczy jęczącey głos synogarlicy:
Toto były subjekta, to głowy nielada,
Co te księgi pisały, a ten mędrek gada,
Że w nich same są baśnie, nierozsądne breda,
Śmié nawet odszczepieniec i matris Agreda,
Tey matris in extasi simbola dictata
Nazywać głupią xięgą wyśmianą od świata.
Co jeszcze więcey twierdził istny niedowiarek,
O dziełach które czynił cudowny xiądz Marek, 2.)
Aby tego świętego, co uzdrawiał wielu,
Nazywał, Boże odpuść, oszustem z Karmelu.

1.) Są to książki naynierozsądnieysze pod temi tytułami wydane; płód głownic zagorzałych Berdyczowskiey i Częstochowskiey szkoły.

2.) Znajomy na Wołyniu oszust zakonu Karmelitów.

Ach zadrzysz móy Skarbniku gdy usłyszysz zdanie,
Jakie mi śmiał powiedzieć gdym go pytał o to:
„Czy dla każdey siwizny znasz uszanowanie?"
Czczę,, rzekł, nie głowę siwą,, lecz rozsądek z cnotą.
To mi mowa! – czy zbrodniarz, czyli człek uczciwy,
Każdego czcić należy, byle łeb miał siwy,
Lecz ta prawda nad takim żadney niema mocy,
Który się niespowiada koło Wielkanocy.
Tak rozwlekłe Podstoli, gdy na świat narzeka:
Westchnął! i tém westchnieniem przebudził Skarbnika.

Pare słów do Majora Franciszka G***. 1.)

Dum licet, in rebus jucundis vive beatus.

Jużto tak móy Majorze na tym świecie idzie,
Człek się ani spodzieje z kąd pokusa przydzie
Ciało, świat, czart przeklęty tyle nas tu kuszą,
Że trudno od nich umknąć z nieskalaną duszą.
Choćbyś wszystkie na siebie powsadzał szkaplerze,
Choćbyś cały dzień klepał pobożne pacierze,
Choćbyś się kropił, żegnał, i nacoż to zda się
Kiedy przypadkiem spoyrzysz na nadobną Basię.

1.) Major Górski móy dobry przyjaciel, wdowiec i żołnierz dawnego auctoramentu, poźniey Pijar w Warszawie, miał w sobie mimo innych cnót te dwa odznaczające przymioty: modlił się, i ściskał piękne dziewczęta. Niegniewał się bynaymniey, gdym mu to przeczytał.

Oy wiém ja bardzo dobrze z mego doświadczenia,
Są pokusy tak ciężkie do niezwyciężenia,
Że kiedy cię opadną, znikną diabły, nieba,
A choćbyś niechciał, uledz koniecznie im trzeba.
Pomnę, gdy byłem młodszy, gdym miał lat dwadzieścia,
Rozkoszą moją była luba płeć niewieścia,
Iż chociażto w tém zdaniu mocno utwierdzony,
Że spoyrzeć na dziewczynę, grzéch nieodpuszczony:
Kiedym jednak zobaczył Terenie kochaną,
W święto lub na jarmarku, gdy była ubraną
W białą suknią, a wianek wśród ciemnych warkoczy,
Odsłaniał białe czoło i czarowne oczy,
Niewiém co się natenczas w duszy mojéy działo,
Wiém tylko, jako pąpie drżało grzészne ciało;
A za jeden całunek, za jedno ściśnienie,
Zapomniałbym na piekło i na potępienie.
Bądź chorym, aż do siły utracenia prawie
Bądź głodnym żyy tylko o jednéy łyżki strawie
Bądź gołym niemiey nawet i grosza przy duszy,
Jeszcze cię piękne dziewcze rozczuli i wzruszy.
Kiedy już bydź inaczéy nie może na świecie,
Gdy się wszystko przed piękną dziewczyną ugina
I korona, infuła i prałat w birecie
I modny trefniś świata i prosta czupryna;
Kochaymy móy Majorze choćby dla igraszki,
Z niemi goszczą zabawy, żarty śmiechy, fraszki,

Niechay wszysthie pogrozki fanatyckie zginą,
My mówmy zawsze śmiało, bogdayto z dziewczyną!
Ale hola! co na to powiedzą nabożni,
Pewnie ci nas okrzyczą, żeśmy źli, bezbożni,
Że się nawet samego Boga wyrzekamy,
Kiedy z takim zapałem dziewczęta kochamy.
Głupay! czyż Stwórca dobry, ze wszech miar łaskawy,
Stworzyłby złe istoty w Kobietach nadobnych?
Złe bydź samemu człeku, dla jego zabawy,
Nadał mu grono dziewcząt aniołom podobnych.
Ja wiém, że przeto Boga nie obrażę w cale,
Bo kiedy go uwielbiam, kocham, wzywam, chwalę,
Chociaż mię ktoś potępi, on mnie w tym nie wini,
Że mając serce czułe, dałem je Marcyni.

Pożegnanie się z Przyjaciołmi
przed wyjazdem moim z Warszawy.

Sic fata tulerant.

Los nieużyty w méy doli,
Ściga mię bez winy wszędy,
I podług zawistnéy woli,
Usuwa mi swoje względy.
Nieraz me piękne nadzieje
Zawiódł jak tyran okrutny,

Jeszcze się zemnie naśmieje
Gdy wzdycham i płaczę smutny.

Cożem tak złego wykroczył?
Czemuż móy wróg nieużyty?
Choć z drogi cnotliwéy zboczył,
Ma szczęście, urząd, zaszczyty?
On bez litości i serca,
Tyran jak inni tyrani,
Zniszczyć mię pragnie morderca,
Że kocham, miłość mą gani.

Żegnam cię matko kochana!
Oyczyzno! krwią mą nabyta!
Ulegam sile tyrana;
Dusza krwi jego niesyta.
Może pomiędzy obcemi,
Bóg moją niedolę skróci,
Zostańmy zawsze dobremi,
Jeszcze się szczęście powróci.

List
do Jana Koeltza w Warszawie.

z Wrocławia d. 6. Marca 1821.

Obiecałem ci kochany Przyjacielu przy odjeździe moim z Warszawy opisać całą podróż moją do Wrocławia; czynię to nie tylko ze względu przyrzeczenia; ale bardziéy

jeszcze z obowiązku przyjaźni.

O godzinie 11 zrana na dniu 23 Lutego w Piątek, wyjechałem z Warszawy przez rogatki Jerozolimskie. Nie jestem w stanie opisać ci żalu mojego z opuszczenia przyjacioł i znajomych, bo to się tylko czuć daje. W ponurem milczeniu zadumany nad losem moim, zbliżył się nasz powóz do Raszyna. Pokazawszy mey żonie mieysce, gdzie nasz waleczny Godebski był śmiertelnie raniony, i oddawszy w duchu cześć poległych na tych polach w obronie oyczyzny wojownikom, udaliśmy się do austeryi dla posilenia i ogrzania się z coraz bardziey przybierającego mrozu. Furmani nasi, poczciwe ludziska, takimi są wielbicielami karczem, i tak zabobonni, że mieliby sobie za jakąś wrożbę nieszczęścia, gdyby którą minęli. Z tego też powodu podróż nasza szła żółwim krokiem. Na popas podwieczorny zajechaliśmy do Przeszkody. Mieysce to sprawiedliwie nazywa się Przeszkodą dla śpieszących się passażerów, bo tu dopiero okazali furmani nasi co umią.

Pijatyki, tańce, krzyki,
Obok bluźnierstw i muzyki,
Chociaż marzły biedne konie
Choć wiatr szumiał po zagonie
Nasze chłopki dobrey wiary,
Pili- hulali bez miary.

Gdyby było mieysca podostatkiem, zapewnie tam byłby i nasz nocleg, ale że izba była napełniona, zatem tłukąc się po grudach, po kamieniach, stanęliśmy na nocleg ledwo po

północy w Skrzach. Wszystko tam już spało gdyśmy zajechali, i ledwo dopukać się można było. Szynkarka z otwartą gębą poziewając raz po raz zaprowadziła nas do izby. Tu jeszcze wszystko idzie na stopę Warszawską. Zamiast powiedzieć cośmy winni podano nam rejestrzyk, a służąca zamiast powiedzieć aby jey dano za usługę, prosiła na szpilki.

O 9 z rana w Sobotę, wyjechaliśmy z Skrzów. Przez zasunięte płótna widzieliśmy miasteczko przy gościncu zwane Żabiawola, dosyć piękne, ale furmanom naszym niedogodne, bo zamiast karczmy stoi kościół przy drodze, i podobno to jest jedyne mieysce w Polszce, gdzie przy świątyni Boga kapliczki swojey diabeł nie postawił. Na południe zajechaliśmy do Wędogrowa.

Tu z darów twoich dobywszy kobiałki,
Łyknąłem z flachy Warszawskiey gorzałki,
A pijąc piwo kwasu zarodnego,
Wspomniałem sobie na porter Duzego.

Daléy jadąc przez śniegi i lasy na Rawę stanęliśmy na nocleg w Podkonicach.

Sądziłem że to bayki aby pies jadł mydło,
Bo to się przecież zdaje rzeczą bydź obrzydła;
Lecz czegoż pies nie zjada?.. w dobrym apetycie,
Zjadł i tutay trzy funty mydła należycie.

Tyle szkody mieli nasi furmani na tym noclegu, ale to bydź wszystko może, że kochany żydzio ukradł mydło, a na niewinnego brysia całą winę zwalił. Nazajutrz w Niedzielę

zaje-

zajechaliśmy na obiad do Ciechanowa, i pierwszy raz w podróży naszéy jedliśmy rosół. Na nocleg przyjechaliśmy do Wolborza. Gospodarz u któregośmy stanęli, wart jest aby naypierwszą gospodę w Warszawie założył.

Przez dykteryyki z swoją Małgosio,
Czysty Żółkosio.
W daniu potrawy zrazów z podlewą
Lepszy niż Cheveau,
A przez porządek, usługę pilną
Kiep Hotel Wilno.

W poniedziałek przyjechaliśmy na południe do Piotrkowa, a nocleg przypadł w Dołkowicach, tym dla mnie przyjemnieyszy, że Karczmarz tameczny żołnierz starego autoramentu zostający dawniéy w brygadzie Madalinskiego opowiadał mi bardzo porządnie ostatnią woynę insurrekcyyną. Utulić się nie mógł od płaczu, gdym mu powiedział że Kilinski umarł, i że byłem na jego pogrzebie.

Nazajutrz przyjechaliśmy do Korzenic na południe, a na nocleg zajechaliśmy do Orzegowa, lecz ledwo po północy udaliśmy się na spoczynek, bo na nieszczęście trafiliśmy na wesele chłopskie. Mojéy żonie wszystko się nowem zdawało i naybardziéy ją bawił polonez wieyski. Muszę ci go tu opisać. Chłopi w czapkach na głowie, w poprzewracanych kozuchach, z faykami w gębie, w bótach na podkówkach i powiększéy części dobrze podpici, idą jeden za drugim niby gęsiego. Dziewki stoją na stronie, wszystkie pra-

wie

wie boso, i czekają, aż którą z nich kto weźmie. Nie zamawiają tam do tańca ale wywołują po imieniu, n. p. Maryno, Zośko, Jadwigo i t. p. Co zaś do obrotu tańca są także pewne tempa, ale zawsze wymawiać się muszą, co jest obowiązkiem tego który w pierwszey parze tańczy. Wyrazy zaś są te: ksobie, od siebie, od komina i t. d.

W Srzodę około godziny 2 z południa przyjechaliśmy do Mokrzka. Tuto odbyliśmy dwa noclegi z powodu że czekać musieliśmy na kupca, którego towar nasi furmani wieźli. Po długim odpoczynku przyjechaliśmy przecięż na granicę polską do Królewskiey grobli

Gdzie na szczęście podróżnych braci, jak się zdarza,
W Eimnehmerze znalazłem W∴ Mularza.

a że w l∴ś∴ jest pozdrowienie znane, więc i przyjęcie było bardzo dobre, i zdziwiło to nie pomału furmanów naszych, że na obydwóch komorach tak tu jak i w Uszycach nieprzeglądano moich rzeczy, gdy im wszystko przetrząsano.

Nie zgadnie nikt z profanów ni ten ni owaki,
Jaką siłę miewają święte nasze znaki.

I bardzo dobrze zrobiono, że naszych rzeczy nieprzetrząsano; bo lubo żadnego niemieliśmy kontrabandu, ale przez przerzucanie rzeczy, byliby całą naszą bieliznę w niwecz obrócili.

W Sobotę stanęliśmy w Byczynie na południe. Żona moja w ciąży będąca, a podróżą niezwyczayną i w tey porze roku niewygodną, zwątlona, rozchorowała mi się w drodze; lecz przecięż ból żołądka ustał, a w Kempnie wypoczę-

ta

ła sobie należycie. W niedziele byłem w kościele aby zobaczyć świat Kempinski, i przysłuchałem się bardzo pięknemu kazaniu w którem xiądz proboszcz wyłożył nam dowodnie

Że w poście co następuje
Kto z chrześcian nie statkuje
Jada mięso, robi śmiéchy
Ten wielkie popełnia grzéchy.
I że to rzecz niewątpliwa
iż na mięsozjady
tańce i biesady
Pan Bóg się okropnie gniewa.

Z Kempna najątszy furmana ruszyliśmy w dalszą droge, i dnia 6 Marca w Niedziele, stanąłem nakoniec w Wrocławiu. Bywaj zdrów i kochaj twoich szczerze przywiązanych przyjaciół Walentego i Marcyanne Kainków.

Do mojey Siostry Justyny Kainko w dzień jey Imienin.

Zwyczaj to wprowadził pomiędzy ludzi kochana Siostro, iż sobie nawzajem w dzień urodzin, winszują szczęścia i pomyślności. Życzenia te, póki ludzie byli cnotliwemi, pochodziły zawsze z dobrego serca, dziś bowiem inaczey myślą a inaczey mówią; ja jednak to ci życzę co serce me czuje. A tak nayprzód:

To co żąda monarcha i kmiotek ubogi,
Bez czego wszelka roskosz i radość omija;

Co bardziey jest szanowne nizli kleynot drogi,
Tego ci z serca życzę; Niech ci zdrowie sprzyja.

Zdrowie jest zaiste wielkiém i nieocenionem dobrem; lecz czując się przy czerstwych siłach, radzibyśmy użyć wesoło dni życia naszego. Ażeby bydź wesołym i szczęśliwym życzę ci powtórnie.

Nie skarbów które często los ślepy nadaje,
Inną nam koley w życiu przepisały nieba;
Bo szczęśliwość prawdziwa na małem przestaje,
Miey więc tyle, ile ci koniecznie potrzeba.

Zdawało mi się, że dosyćby było dla człowieka, gdyby przy czérstwem zdrowiu posiadał to co koniecznie jest potrzebnem;

Lecz kto z nikim słodyczy szczęścia niepodziela,
Tego własna pomyślność ciągle uciemięża;
Czémżeby było życie żyć bez przyjaciela?
Życzę ci więc wiernego i czułego męża.

Tak tak kochana siostro moja, życzenie to jest arcyrozumne: spytay się kogo chcesz każdy ci to powie, a nawet spodziewam się, że i ty to samo czujesz. Nie zostaje mi zatém już nic więcey, nad jedną jeszcze apostrofę:

Dałby Bóg, nim tych kilka miesięcy upłyną,
Abym cię z mężem widział kochana Justyno!
Niech cię serce z rozumem jak naylepiey swata,
Te są szczére życzenia Walentego brata.